TYDZIEŃ

Nr 27 (51) ROK II

6. VII. 1947

CENA 20 ZŁ



DZIŚ: HELENA BOGUSZEWSKA — PTAKI
STEFANIA GRODZIEŃSKA — MĄŻ, A LETNISKO

tak i nie

Plan Marshalla



OD chwili wygłoszenia mowy przez min. Marshalla w Harvard, wypadki na arenie politycznej świata potoczyły się z zawrotną szybkością. Przełomowym momentem jest spotkanie ministrów spraw zagranicznych trzech mocarstw europejskich w Paryżu.

Jeżeli jednak zapytać się, co konkretnie zawiera w sobie plan Marshalla, to okaże się, że wiemy niezmiernie mało. Właściwie pewne jest tylko jedno, że chodzi o przygotowanie projektu pomocy, który by nie obejmował jedynie poszczególne państwa, ale o ile możności całą Europę.

Londyński „Financial Times", omawiając plan, zwrócił uwagę, że pośpiech, jaki cechuje postępowanie Ameryki, dyktowany jest sytuacją „strajku kupującej publiczności". Jeżeli w walce o obniżkę cen rząd amerykański zdoła wykazać, że nadwyżkę produkcji będzie można wysłać do Europy, to publiczność amerykańska zacznie znowu kupować.

Niewątpliwie w tym powiązaniu planu Marshalla z wewnętrznymi problemami Ameryki kryje się wiele prawdy. Ważniejsze jednak dla Europy są informacje o szczegółach. „Observer" zamieścił na ten temat szereg domysłów swego waszyngtońskiego korespondenta. Przypuszcza on, że pomoc dla Europy będzie obliczona na trzy do czterech lat, po 5 do 6 miliardów rocznie i że główny wysiłek będzie skierowany na wydobycie węgla i odbudowę transportu. Sformułowanie to kryje w sobie informacje o włączenie do planu również zagadnienia niemieckiego.

Najpoważniejszą przeszkodą w realizacji pomocy dla Europy może okazać się ustawodawstwo antyrobotnicze, przyjęte ostatnio przez Kongres i Senat amerykański. Fala strajków, jaką wywołały przepisy, ograniczające prawa robotników, nie wróży zbyt dobrze dla produkcji przemysłu amerykańskiego.

Cuda techniki

JESZCZE nie rozwiązano zagadnienia wykorzystania energii atomowej, a już dochodzą wieści o niezwykłych wynalazkach, które mogą mieć decydujący wpływ na cały szereg dziedzin naszego życia. W Związku Radzieckim zbudowano model elektrycznego samochodu ,zasilanego drogą indukcji z elektromagnetycznego pola wytwarzanego przez podziemny kabel o wysokim napięciu, wbudowany pod nawierzchnią szosy lub autostrady. Motor jest o 60 proc. lżejszy od silnika benzynowego.

Radziecki inżynier, Mikołaj Trupak. opracował metodę budownictwa podziemnego i konstrukcji wodnych, opartą na zamrożeniu terenu, na którym prowadzi się roboty. Usuwa to konieczność odwadniania i zmniejsza niebezpieczeństwo obsunięcia się gruntu.

Również rolnictwo radzieckie zastosowało nowe zdobycze nauki. Udało się wyhodować gatunki bawełny, które rodzą włókienka barwy brązowej, khaki i ciemnozielonej. Prowadzone są dalsze próby wyhodowania odmian, które by dawały włókno niebieskie, jasnozielone i różowe.

Amerykanie wynaleźli ostatnio aparat fotograficzny, dający od razu odbitkę. W ten sposób mozolne wywoływanie i kopiowanie stanie się zbędne. Dla pań wynaleźli specjalnie pióro, przy pomocy którego można pisać perfumami, zamiast je rozpryskiwać dotychczasowym sposobem.

Czarny rynek w Anglii

NACZYTALIŚMY się już wiele niemiłych wzmianek, mówiących o tym, że Polacy, przebywający jeszcze na emigracji, opanowali całkowicie czarny rynek w Anglii. Z pewnym przez to zadowoleniem zanotowaliśmy, że mają poważnych konkurentów. Rząd angielski polecił sporządzić czarną listę na bywców nowych samochodów, którzy odsprzedali je po cenach wyższych od cen urzędowych dla nowych wozów. Lista obejmuje ponad 1.000 nazwisk, które, jak pisze popularny tygodnik „Cavalcade", uczyniłyby zaszczyt niejednej wielkiej imprezie towarzyskiej w ekskluzywnej dzielnicy Mayfair.

Również Anglicy przekonywują się powoli, że pewne sfery ulegają szczególnie łatwo pokusom spekulacji.

Czarne złoto w Iraku

ZAGŁĘBIE naftowe Kirkur, jedno z najbogatszych na świecie, jest eksploatowane przez Iraq Petroleum Company" która za koncesje opłaca jedynie 8 szylingów za tonę nafty. Robotnicy muszą wędrować codziennie przeszło mile do pracy w upale Mezopotamii. Jednocześnie brak pomieszczeń mieszkalnych. „Iraq Petroleum Company" nie pozwala na utworzenie związku zawodowego.

Irakiem rządzi premier Nuri Said, mo że najzdolniejszy z dawnych współpracowników pułkownika Lawrence'a. Posiada on prawdziwy talent w przeprowadzaniu celów polityki angielskiej na terenie swego kraju. Anglicy zajmują wszystkie kluczowe pozycje w gospodarce Iraku. Nawet szefem pralni publicznej w Basrze mianowano Anglika. Lewicowo-nacjonalistyczne pismo Saut el Siasa zapytało wówczas słusznie, czy to również przekracza umiejętności mieszkańców Iraku.

Omawiając manewry wyborcze, które umocniły władzę Nuri Saida tygodnik „Nation" dodaje: Nuri Said polecił gubernatorom a ci z kolei przezieli na policję polecenie ograniczenia działalności politycznej do granicy „ładu i porządku". W wykonaniu tego rozkazu nawet konserwatywna partia (z nazwy liberal na) uzyskała ogółem 5 oddziałów w 71 prowincjach.

Nazywają węgiel — czarnymi diamentami. Naftę obdarzono mianem czarnego złota. Na przykładzie Iraku warto sobie zadać pytanie: komu przypada złoto, a komu czerń?

Ostrze na ostrze

POCAŁUNEK MINISTRA

Jest trochę racji w powiedzeniu „Jak cię widzą, tak cię piszą". Dlatego mówię — trochę — gdyż z drugiej strony moglibyśmy przytoczyć w historii ludzkiej wiele przykładów kompletnej abnegacji pod względem stroju i wyglądu w myśl zasady „nie suknia zdobi człowieka, lecz człowiek suknię". Jej hołdował Sokrates, byli i inni.

Faktem jest jednak, iż dbałość o wygląd zewnętrzny, bez wpadania oczywiście w przesadę, usposabia na ogół życzliwie do świeżo poznanego osobnika. Niechlujstwo lub krzykliwa, niegustowna elegancja pochwały nie zyskują. Rażą zwłaszcza wtedy, gdy wiemy, że przyczyną zaniedbania nie są braki materialne.

Suknia gazety jest słowo, w które przybiera się treść. Tak zwana „szata zewnętrzna" — układ, opracowanie informacji, druk, papier, ilustracja — nie jest rzeczą obojętną dla opinii, jaką wyrabia sobie pismo.

Dalej: tytuły. Tak zwane „robienie tytułów" w pracy dziennikarskiej jest to zarazem i sztuka i filozofia i malarstwo i arytmetyka i polityka, o czym wiedzą np. doskonale redaktorzy i pilni czytelnicy „Gazety Ludowej".

Jeśli tytuły, ich dobór i charakter nadają w znacznej mierze wyrazu gazecie, możnaby powiedzieć, iż w pewnym piśmie warszawskim podobne one są do stale rozwichrzonej, nieporządnej czupryny. Przydałby się mocny, dobry grzebień. Wyczesać by należało całą skołtunioną, nieznośną bzdurę, usiłującą imitować figlarne loczki. Oto przykłady, wybrane na chybił trafił spośród wielu innych, w niczym nie ustępujących poniżej cytowanym.

Dowiadujemy się nap. kilka dni temu, iż „Mięso pani Peron otworzy jej wrota do zakłopotanej Anglii". Rzeczywiście srodze musi być zakłopotana purytańska Anglia: mięso jest bardzo powabne, sądząc z fotografii pani Peron, zamieszczonej na pierwszej stronie tegoż pisma. Drżyjcie, zimnokrwiści synowie Albionu! Gospodarne zaś Angielki urocza żona argentyńskiego dyktatora ma zamiar skusić mięsem jagniąt i cieląt. A cóż dla jaroszów? Chyba wiosenna sałatka z zielonych myśli autora powyższego tytułu...

Nastrój romantycznej przygody nie opuszcza nadal kolegi - specjalisty od tytułów obgadywanego przez nas pisma (nomina sunt odiosa).

Świadczy o tym notatka w jednym z ostatnich numerów, zaopatrzona w taki frywolny tytuł: „Dwa pocałunki ministra w RTFD". Obawiamy się, iż podobny wylew serdecznych uczuć przeniesiony na inne resorty doprowadziłby do wielu komplikacji słowno - muzycznych. Mielibyśmy pocałunki w PCK, PCH PUR, MZK, PMS, CUP, PUP i we wszystkie inne zestawienia. dwu—trzy—cztero — i wieloliterowe od A do Z.

Przykłady takie można byłoby mnożyć przez ilość notatek i dni, uzupełniając dla rozmaitości celniejszymi cytatami stylistyki niektórych artykułów. Satyrze polskiej przybyłoby nowe, pokaźne dzieło.

Przekracza to jednak ramy niniejszego felietonu. Na zakończenie więc jeszcze tylko jeden utwór:

„Tramwajarze i kanalizacje popierają sztukę. Inni muzycy drożą się". Robotnicza orkiestra tramwajarska ma swoją dobrze zasłużoną opinię. To wiemy. Ale nie słyszeliśmy jeszcze żadnej produkcji muzycznej kanalizacji. A szkoda. Mógłby to być uroczy koncert kameralny. do złudzenia przypominający szum wodospadu, perlisty szmerek strumyka lub zakopiańskie słynne Wodogrzmoty. Polecamy uwadze Polskiego Radia tudzież Ministerstwa Kultury i Sztuki

Sądzę, że koledzy z pisma, o którym była cały czas mowa, mając poczucie humoru, nie pogniewają się na nas za te wszystkie przycinki. Płyną one z szczerego, życzliwego serca. Gdy bierzemy do ręki popołudniową gazetę, nie szukamy w niej oczywiście powagi — raczej informacji, rozrywki, lekkiego, beztroskiego dowcipu. Dowcip ten nie może jednak być trywialny i bezsensowny. A takim, niestety, często bywa. I — również niestety — nie tylko w tym jednym piśmie.

Avis

NASZA OKŁADKA



Rys. E. Bartłomiejczyk
NA WYCIECZCE

W Argentynie bez zmian

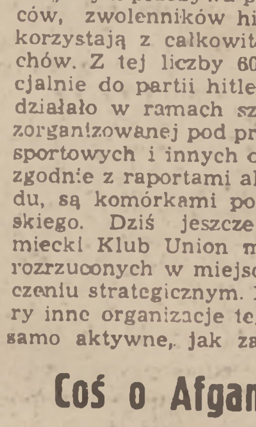
ARGENTYNA pozostała największym schroniskiem hitlerowców, którzy planowali i nadal planują, jak zdobyć hegemonię nad światem dla Niemiec. W kraju tym przebywa ponad 100.000 Niemców, zwolenników hitleryzmu, którzy korzystają z całkowitej swobody ruchów. Z tej liczby 60.000 należało oficjalnie do partii hitlerowskiej, a 20.000 działało w ramach szpiegowskiej sieci, zorganizowanej pod przykrywką klubów sportowych i innych organizacji, które zgodnie z raportami alianckiego wywiadu, są komórkami podziemia hitlerowskiego. Dziś jeszcze argentyńsko-niemiecki Klub Union ma 100 oddziałów, rozrzuconych w miejscowościach o znaczeniu strategicznym. Przynajmniej cztery inne organizacje tego rodzaju są tak samo aktywne, jak za czasów Hitlera.

Coś o Afganistanie

KRAJ gór i fanatycznych wojowników Afganistan , nie wywoływał nigdy szczególnego zainteresowania w świecie gospodarczym. Przyciągał podróżnych i naukowców, bywał wciągany w rachubę przy rozgrywkach politycznych, ale ekonomicznie nie liczył się.

Tymczasem Afganistan opracował zakrojony na wielką miarę plan uprzemysłowienia. Pod względem czasokresu, objętego planowaniem, bije wszelkie dotychczasowe rekordy, obliczony jest bowiem aż na 12 lat. Warto zaznaczyć, że Wielka Brytania zainteresowała się już zarówno możliwościami eksportowymi tego kraju (głównie karakuły i owoce) i potrzebami importowymi, które przed wojną pokrywane były prawie całkowicie przez Niemcy i Japonię.

Wallace o trzeciej partii



W ostatnim numerze „New Republic" jaki doszedł do naszych rąk, znajdujemy artykuł Henry Wallace'a, napisany po jego tournée odczytowym po zachodnich Stanach.

„Uważajcie na Zachód — pisze Wallace. — Po podróży przez Kalifornię, stan Waszyngton, Oregon i Kolorado, nabrałem pewności, że przyszły ruch postępowy przyjdzie z tych stron. Przyjdzie jako masowy, samorodny ruch mężczyzn i kobiet myślących o rozwinięciu zachodu Ameryki i o zaniedbaniu tego rozwoju przez partię republikańską.

Pokój po przez silną Organizację Narodów Zjednoczonych będzie ważnym czynnikiem w tym przebudzeniu Zachodu. Za tym prądem stanie zjednoczony ruch robotniczy. Będzie bardziej zwarty, bardziej zdyscyplinowany i lepiej zorganizowany, niż New Deal. Czy dążenia te znajdą swój wyraz w liberyzacji partii demokratycznej, czy w utworzeniu trzeciej partii, zależy jedynie od tego, czy czołowi przywódcy demokratów zechcą pójść za tym prądem".

Jak wiadomo, jest to dziś zagadnienie czołowe w polityce wewnętrznej Stanów Zjednoczonych.

tak i nie STRONA 4

Zbigniew Mitzner

POLSKA A PLAN MARSHALLA

NIE jest przypadkiem, że szereg zagadnień międzynarodowych skupia się wokół pozycji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Okres powojenny wysunął na plan pierwszy sprawę gospodarczej odbudowy zniszczonych przez wojnę krajów Europy. Wojna bowiem dotknęła ciężko cały niemal kontynent europejski. Oszczędziła natomiast całą Amerykę, odwrotnie nawet — podobnie jak w czasie pierwszej wojny światowej — okres wojenny zaznaczył się wzmożeniem rozwoju przemysłowego USA, ich ekspansji handlowej, oraz rozwoju marynarki handlowej. Stało się tak, iż na skutek wciągnięcia całej Europy w wojnę Stany Zjednoczone mogły szeroko rozwinąć swoją ekspansję, bijąc na przykład Wielką Brytanię na najdrażliwszym dla niej odcinku przewagi na morzach.

TEN okres powojenny stworzył dla Stanów Zjednoczonych epokę wielkiej pokusy, pokusy zużytkowania posiadanej przewagi gospodarczej. Niektóre koła amerykańskie nie potrafiły jej się oprzeć, dążąc do zmiany polityki Roosevelta na politykę gospodarczego i politycznego imperializmu. Czynniki wielkokapitalistyczne, uległi im politycy i oddana prasa, rozpoczęły szerzyć doktrynę umocnienia wpływów swojego kraju, przy pomocy interwencji dolarowej. Oficjalna polityka Stanów Zjednoczonych niejednokrotnie ulegała tym podszeptom. Sprawa pomocy dla Grecji i Turcji była tego najjaskrawszym przykładem.

Okazało się jednak równocześnie, że sprawa nie jest zbyt prosta. To nie tylko Europa potrzebuje pomocy Ameryki, ale także i Ameryka potrzebuje odbudowy Europy. Dla krajów wysoko uprzemysłowionych, takich jak Stany Zjednoczone, warunkiem normalnego bytu jest możliwość eksportowania i sprzedawania swoich wyrobów. Eksportować zaś i sprzedawać można wówczas tylko, gdy ma się klientów, którzy nie są nędzarzami i potrzebują amerykańskich towarów. Jeśli tak jest, zawodzi stawianie sprawy pomocy na płaszczyźnie politycznej. Udzielenie pomocy finansowej rządom Grecji i Turcji podtrzymują niewątpliwie reżimy panujące w tych krajach. Nie przyczynia się jednak do odbudowy gospodarczej, a więc tym samym jest bezcelowe z punktu widzenia interesów USA. Ta pomoc fragmentaryczna uwydatniła konieczność odbudowania całości Europy, gdyż tylko Europa jako całość odbudowana do nowego życia może być kontrahentem Ameryki.

Z tego przekonania powstał nowy plan amerykański, który w jednej ze swych mów ogłosił Sekretarz Stanu dla Spraw Zagranicznych — Marshall. Istotą tego planu ma być objęcie pomocą amerykańską całej Europy. Niewątpliwie w porównaniu z poprzednimi posunięciami wobec Grecji i Turcji stanowi to zmianę polityczną. Nie wiadomo tylko, czy jest to zmiana o charakterze zasadniczym to znaczy, czy realizacja planu Marshalla ma być połączona z takimi samymi warunkami, z jakimi łączyła się pomoc Ameryki dla Grecji i Turcji. Jeśli bowiem miałoby być tak, że cała Europa przyjąć by miała warunki polityczne podyktowane zza oceanu, wówczas oczywiście cały plan stałby się nierealny. Wiadome jest bowiem, że wiele jest państw europejskich, które nie pójdą w żadnym wypadku na ograniczenie swej suwerenności kosztem najwydatniejszej nawet finansowej i gospodarczej pomocy.

Z drugiej strony odrzucenie przez państwa europejskie z tego powodu nowego planu amerykańskiego nie byłoby korzystne dla samych inicjatorów. Życie gospodarcze Stanów Zjednoczonych uzależnione jest ściśle, jak już powiedzieliśmy, od możliwości eksportowych, ograniczenie tych możliwości oznacza dla nich nieunikniony kryzys i stały wzrost bezrobocia, walka więc polega na tym, by imperialistyczna część opinii amerykańskiej zrozumiała, że nie zdoła w żadnym wypadku narzucić wszystkim krajom europejskim swojej koncepcji polityczno-gospodarczej i ażeby zrozumiała także, że musi z niej zrezygnować w imię interesów własnego kraju.

WZBURZENIE mas pracujących w Ameryce, ich protesty przeciwko ustawom antyrobotniczym, strajk robotników, walczących o podwyżkę płac i lepsze warunki pracy, to wszystko są oznaki zbliżającego się wewnętrznego kryzysu amerykańskiego, który może być zażegnany tylko w drodze porozumienia, jak równy z równym z krajami Europy i w tym właśnie tkwi sedno zagadnienia i możliwość rozwiązania zagadnień narzuconych koniecznością, starej Europie i nowej Ameryce.

TE wszystkie problemy stały się wyjątkowo jaskrawe na tle odbywającej się obecnie w Paryżu konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych Związku Radzieckiego, Francji i Wielkiej Brytanii. Ma być ona wstępem do prac ogólno-europejskich związanych z realizacją planu Marshalla. Wśród wielu trudności na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie braku ścisłego sprecyzowania stanowiska Ameryki. Głosy polityków amerykańskich, nie wyłączając nawet członków rządu, są niejednokrotnie ze sobą sprzeczne, co utrudnia niewątpliwie państwom europejskim zajęcie stanowiska. Stąd też i żale amerykańskie na niezrozumienie ich intencji pozbawione są podstaw. Sytuacja bowiem wymaga jasności. Jasność tę dać może wyraźne zapewnienie, że inicjatywa Ameryki nie niesie za sobą żadnych ukrytych zamiarów, że nie chodzi tutaj o posunięcie polityczne na wielką skalę, ale o transakcję gospodarczą korzystną i potrzebną dla obu stron.

KONFERENCJA paryska napotyka w toku swych obrad na to, czego na żadnej konferencji współczesnej pominąć się nie da, to jest na kwestię Niemiec. Jest niewątpliwe, iż przy kształtowaniu losów Europy, w jakimkolwiek bądź zakresie, zagadnienie niemieckie nie może być pominięte. Chodzi o to tylko, w jaki sposób ma ono być rozwiązane. Wypowiedzi pewnych dzienników anglo-amerykańskich napawają niepokojem. Lansują one bowiem koncepcję odbudowy potencjału przemysłowego Niemiec, które by miały swymi wyrobami zasilać inne kraje, przede wszystkim wschodniej i południowej Europy, otrzymując wzamian żywność. Ten system gospodarczy w praktyce ustanowiłby hegemonię gospodarczą Niemiec na kontynencie i spaczyłby naturalnie rozwój innych krajów. Bez uprzemysłowienia nie ma istotnej niezależności gospodarczej, a zatem i politycznej; nie ma dążenia do stałego podniesienia poziomu życiowego narodów rolniczych. Ta koncepcja więc musi być obalona, a sprawa potrzeb państw europejskich musi być wysunięta na front przed potrzebami Niemiec.

TUTAJ więc znów stajemy wobec zagadnienia ocalenia owoców zwycięstwa odniesionego nad Niemcami. Tutaj więc staje zagadnienie, aby nie dać się złowić na wędkę doraźnych korzyści, wypływających z planu Marshalla korzyści, które mogłyby zaważyć fatalnie na naszej przyszłości. Ta ostrożność i te zastrzeżenia muszą być należycie zrozumiane po tamtej stronie Atlantyku. Polska chętnie okazaną pomoc przyjmie, musi jednak zwracać uwagę na to, by towarzyszące jej okoliczności zamiast korzyści nie przyniosły jej nieprzewidywanych strat.

Na temat dolarowej ofensywy na Europę



Na gołej wędzie ryby nie będzie. *Rys. J. Zaruba*

Dzieci czekają na podręczniki



Fot. Film Polski

Musimy więc oszczędzać papier. W związku z tym i „Tydzień" przejściowo zmniejsza swą objętość. Przekonani jesteśmy, iż Czytelnicy z wyrozumiałością przyjmą to ograniczenie, które jest przykre lecz mądre i konieczne.

Osobliwości Pragi Czeskiej

W MIEŚCIE o tak bogatej historii jak Praga granice pomiędzy poszczególnymi stuleciami zacierają się dość często. Obok gotyckich budowli wznoszą się nowoczesne gmachy. Jest to normalne zjawisko rozwojowe. Trudno jednak zaliczyć do tej kategorii jeden z fresków zdobiących mury katedry św. Wita. Katedra ta, wzniesiona częściowo jeszcze w XIII-ym stuleciu, to wspaniały zabytek z gotyku wzniesiony w samym środku Hradczynu. Wnętrze zostało ozdobione przez szeregi pokoleń w stylu renesansu i baroku. W ostatnim stulecia przybyły witraże jedne z najpiękniejszych w Europie. Ale przy samym wejściu do kościoła uwieczniono cztery postacie w przepisowych żakietach ,sztywnych kołnierzykach i plastronach. Obok nich modlą się, walczą i trwają brodate postacie w historycznych zbrojach i pióropuszach. Czterej współcześni panowie to fundatorzy części owych witraży.

Widok jest osobliwy stanowi przykry dowód, do czego może prowadzić zbyt wielkie bogactwo. Można się jedynie pocieszyć, że za kilkaset lat żakiet czy tużurek będzie również tylko strojem historycznym.

Świat bez mężczyzn

W ROZWOJU nauki doszliśmy do chwili przełomowej. Znakomici uczeni amerykańscy podobno odkryli metodą samozapładniania przy pomocy bardzo zresztą skomplikowanej procedury naświetlania hormonów i innych tajników organizmu zwierzęcego. Jedyny szkopuł, że dotychczasowy proces wymaga uprzedniego dokonania zabiegu operacyjnego. Udało się podobno już doprowadzić do samozapłodniania wysoko rozwinięte ssaki, jakimi są króliki. Jak podają uczeni, jedyną stroną ujemną zabiegu jest fakt, że rodzi się jedynie potomstwo płci żeńskiej.

Ponieważ uczeni solennie obiecują, że z biegiem czasu dojdą do wywoływania ciąży u kobiet, należy żywić obawę, że niewiasty mogą rzeczywiście upodobać sobie w mechanicznym i uczonym procederze. Wtedy na świecie pozostaną jedynie kobiety. Ale chyba same nie będą z tego zadowolone.

Tak i nie

Spółdzielczość angielska

NIEDAWNO odbył się w Brighton Kongres spółdzielczości angielskiej.

Przewodniczący kongresu G. L. Perkins w przemówieniu swoim wskazał na doniosłą rolę, jaką spółdzielczość spożywcza odgrywa obecnie w Wielkiej Brytanii, opanowując coraz to nowe tereny.

W przemówieniu swym Perkins domagał się od rządu, aby w swych planach uwzględniał nie tylko interesy produkcyjne, ale również i potrzeby konsumcyjne narodu. Te ostatnie są najlepiej reprezentowane przez spółdzielczość, która w ramach demokratycznej organizacji państwowej gwarantuje najwyższą praktyczną realizację sprawiedliwości społecznej.

W poszukiwaniu

WŁADZE alianckie są ostatnio poważnie zaniepokojone wykorzystywaniem przez tajną propagandę hitlerowską każdej nadarzającej się sposobności. Szczególnie w czasie ostatniego kryzysu żywnościowego w Zagłębiu Ruhry prowadzona była intensywna propaganda szeptana, że „Anglicy chcą wygłodzić Niemców", gdy w istocie prawie wszyscy Niemcy uzupełniają obecnie swoje przydziały zakupami na czarnym rynku.

Amerykanie wysłali nawet dwóch asów wywiadu dla odkrycia przypuszczalnej kwatery głównej tajnej organizacji niemieckiej. Poszukiwana jest również Frau Reichsfrauenführerin — Gerda Scholtz - Klingk, wyróżniona przez Hitlera mianem „ideau kobiety niemieckiej". Trudno ją znaleźć gdyż przypuszczalnie jest narówni z Frau Goering, Frau Himmler i Frau Ribbentrop — demokratką z przekonania!

Anglia oszczędza

SPRAWA podniesienia ceny papierosów w Anglii celem zmniejszenia wydatków dolarowych na przywóz amerykańskiego tytoniu nie ucichła jeszcze.

Jeden z najpoważniejszych tygodników brytyjskich „Economist" zamieścił obszerny list czytelnika, ilustrowany przy pomocy wykresów na temat: „Ile razy można zaciągnąć się z dwóch połówek jednego papierosa? Czy to się opłaca?"

Inny tygodnik zwrócił uwagę na fakt, że w hrabstwie Hampshire hodowany jest tytoń i domaga się rozpowszechnienia uprawy tej ważnej rośliny na terenie kraju. Tygodnik tłumaczy, że przecież Amerykanie nie będą mogli tego nazywać dyskryminacją ich tytoniu ze stanu „Virginia".

Ale Anglia oszczędza nie tylko na tytoniu. Z braku funduszów i celem zaoszczędzenia materiałów, skasowane zostały paradne mundury gwardii królewskiej, owe wspaniałe czerwone tuniki i czapy wysokości 40 centymetrów. Nawet na afiszach werbunkowych battledress wyparł paradny mundur.

Znaczenie handlu anglo-radzieckiego

OD DŁUŻSZEGO już czasu toczą się pertraktacje handlowe między Z.S.R.R. a Wielką Brytanią na temat przyszłej wymiany handlowej.

Osiągnięcie porozumienia jest pożądane dla obu stron. Anglii zależy na ustaleniu, jakie ilości zboża, drewna, surowców metalurgicznych i produktów mleczarskich będzie mogła otrzymać ze Związku Radzieckiego, gdyż produkty te są dotychczas sprowadzane głównie za dolary. Jak wiadomo, ostatnia, prawie 4-miliardowa pożyczka amerykańska będzie wyczerpana pod koniec bieżącego roku. Z drugiej strony Wielka Brytania mogłaby dostarczyć szeregu maszyn i wyrobów przemysłowych, potrzebnych dla odbudowy przemysłu radzieckiego. Część tych dostaw była dotychczas wyłączną domeną przemysłu amerykańskiego.

Szczególnie wielkie znaczenie przywiązują w Anglii do możliwości rozbudowania nowych gałęzi produkcyjnych w oparciu o zamówienia radzieckie.

Konferencja w Canberze

W NIEDŁUGIM czasie Canberra, w Australii, stanie się widownią wielkiej konferencji dominiów brytyjskich w sprawie przyszłych warunków pokojowych dla Japonii. W tej materii istnieją dość znaczne rozbieżności zdań między Australią a Anglią. Z kolei poglądy australijsko-angielskie różnią się od amerykańskich. — Jednym słowem przyszłe pertraktacje o warunkach pokojowych na Pacyfiku nie będą łatwiejsze niż pertraktacje europejskie. W tej chwili zarysowuje się jedynie ta różnica, że przypuszczalnie konferencja pokojowa dla Japonii nie będzie przygotowana przez specjalne narady ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw. Wezmą w niej udział wszystkie zainteresowane państwa.

Trzecia Izba Kongresu

PRLAMENT Stanów Zjednoczonych skada się z Senatu, złożonego z 96 senatorów i kongresu liczącego 435 posłów. Istnieje jednak jeszcze jedna „izba" — „lobbyists", którą tworzą przedstawiciele najrozmaitszych organizacji politycznych i gospodarczych. Ich zadaniem jest nakłanianie i przekonywanie członków ciał ustawodawczych o słuszności powzięcia decyzji zgodnie z interesami ich mocodawców. Są to przede wszystkim naganiacze wielkich koncernów np. związku elektrowni, związku rafinerii cukru, związku plantatorów cukru, związku plantatorów buraków cukrowych, przemysłu filmowego, przemysłu naftowego, związku towarzystw lotniczych, związku towarzystw kolejowych itd. itd.

Z konieczności również organizacje postępowe i robotnicze mają swoich „lobbyistów", gdyż działalność tych nieoficjalnych „posłów" posiada często decydujące znaczenie. Na cocktail - party urządzanych w luksusowym Statler Hotel rozstrzygane są często sprawy, które powinny być rozważane przez ciało uprawnione do reprezentowania całego narodu.

Przeciw bombie atomowej

W STANACH Zjednoczonych rozwija się obecnie propaganda przeciwko użyciu bomby atomowej, czyli innymi słowy za wydaniem zakazu użycia tej groźnej broni, czego zresztą już od dawna domagają się na forum Narodów Zjednoczonych Związek Radziecki i szereg innych państw.

W Norwalk w stanie Connecticut powstał projekt wysłania specjalnego pociągu z wielką delegacją, która by zawiozła odpowiednią petycję do Waszyngtonu, opatrzoną 16.000 podpisami. Ostatnio w dwóch innych miastach Pelham (stan New York) i Southbury (Connecticut) przyłączono się do tego godnego uwagi projektu.

Karykatury sejmowe



Od lewej: B. min. Kiernik, prezes Mikołajczyk, minister Skrzeszewski, minister Dąb-Kocioł, prof. Michałowicz, minister Minc, minister Modzelewski

(Rys. Julian Żebrowski)

Film TYGODNIA

Sztandar UNRRA



Fot. Film Polski

Minister Rusinek odsłonił tablicę pamiątkową na budynku UNRRA przy ul. Hożej w Warszawie w związku z zakończeniem działalności tej instytucji. W odpowiedzi na to szef misji UNRRA w Polsce Sabin wręczył min. Rusinkowi sztandar, który powiewał nad budynkiem UNRRA w Warszawie.

„Pomóżcie mi odbudować Katedrę!"



Fot. Film Polski

Z takim wezwaniem zwrócił się do wiernych ks. prymas Hlond, rozpoczynając odbudowę Katedry św. Jana w Warszawie.

„Gniew" zwycięzcą



Fot. Film Polski

Bieg o nagrodę „Derby" w Warszawie wygrał „Gniew". Oto tegoroczny zwycięzca.

DO PLACÓWEK „SPOŁEM" I SPÓŁDZIELNI

Dla uniknięcia nieporozumień przypominamy, że prenumerata zbiorowa dla spółdzielców od dnia 1 czerwca br. wynosi 60 zł. miesięcznie.

Administracja

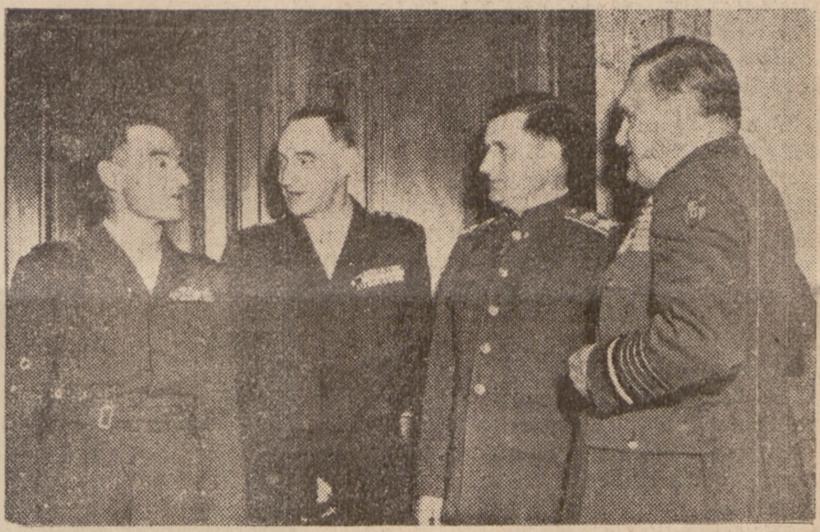
Przyjaźń polsko-bułgarska



Fot. Film Polski

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych odbyło się podpisanie umowy o współpracy kulturalnej polsko - bułgarskiej. Ze strony Polski podpisywał min. Modzelewski ze strony Bułgarii wicepremier Kostoff.

Berlińska Wielka Czwórka



Faktyczni władcy okupowanych Niemiec prowadzą przyjacielską pogawędkę w czasie konferencji Sojuszniczej Rady Kontrolnej w Berlinie.

Od lewej do prawej: Generał-major R. N. Noiret (Francja), Generał Lucius D. Clay (Stany Zjednoczone), marszałek Wasilij Sokołowski (Związek Radziecki) oraz marszałek lotnictwa Sir Sholto Douglas (Wielka Brytania).

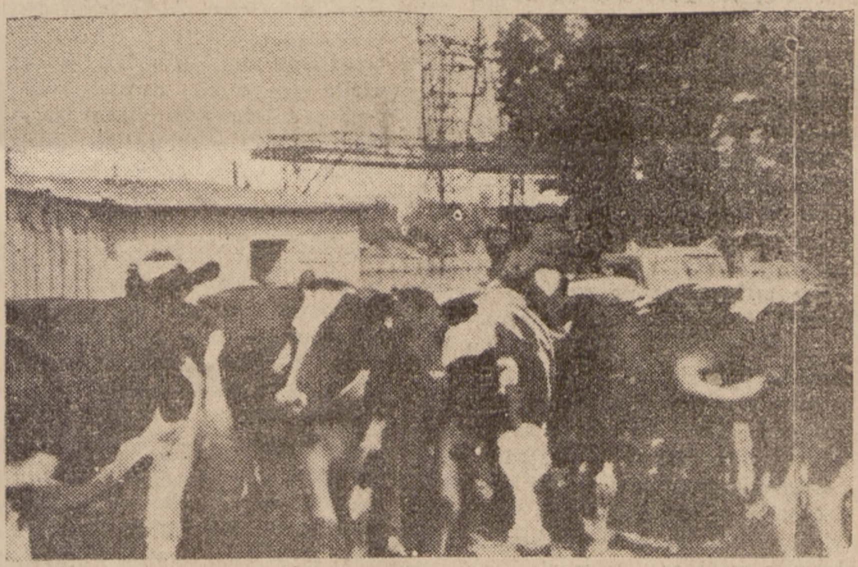
Trudności Anglii



W Wielkiej Brytanii ukazały się obecnie w wielu milionach egzemplarzy plakaty nawołujące do zwiększenia wydajności pracy.

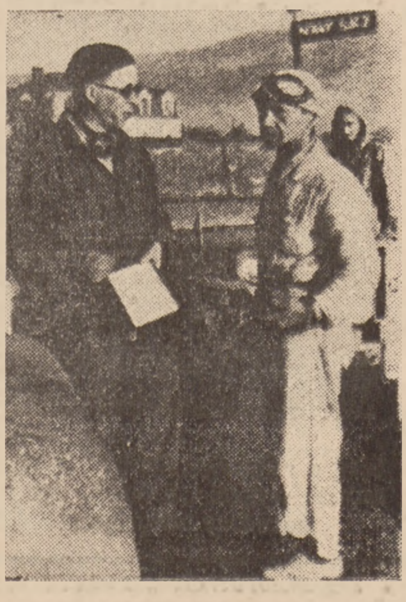
„Musimy więcej importować z zagranicy, niż zdolny jest pokryć w tej chwili nasz eksport — brzmi napis. Eksport pokrywa zaledwie 2/3 importu. Tak być nie może. Musimy eksportować o jedną trzecią więcej, albo redukować przywóz i obniżać poziom życia".

Będzie mleko



Wyładunek pełnomlecznych krów duńskich w porcie gdańskim.

MIĘDZYNARODOWY Raid samochodowy



Fot. Film Polski

Ripper w przyjacielskiej pogawędce ze Strengerem

Z dawna zapowiadany XIII Międzynarodowy **Raid Samochodowy odbył się w czasie** od 15 bm. do 20 czerwca. Większość powątpiewała, czy w ogóle w naszych ciężkich warunkach powojennych przyjdzie do skutku, a jednak żelazna wola i animusz sportowy przełamały wszystkie przeszkody.

W niedzielę na stadionie Wojska Polskiego stanęło bojowych 51 maszyn, by startować do tej rzeczywiście trudnej i ciężkiej imprezy, na którą się składały ogniowe próby, złożone z: próby rozruchu silnika przed startem, próby szybkości płaskiej bez rozbiegu, jazdy okrężnej na przestrzeni 2.650 km, próby zręczności w Szklarskiej Porębie, w dniu 18 bm., próbie zrywu i hamowania w dniu 19 w Zakopanem, próby zręczności, zrywu, hamowania i jazdy tyłem w dniu 20 Warszawie i badania zewnętrznego stanu wozu przed wyjazdem i po zakończeniu raidu.

Przedwojenni raidziści, słynni w Polsce, jak popularny Jan Ripper, na 8-cyl. Bugatti, Mazurek, który za granicą zbierał już laury, dosiadł tym razem KDF, inż. Rychter, taki pewniak na zimno na ulubionej Chevrolecie, Wierzba na swej srebrnej Lanci, Piotrowski na rasowym BMW stanęli w groźnej konkurencji z szeregiem młodszych zawodników, z których wielu typować dziś już można na pierwszorzędne siły.

XIII Międzynarodowy Raid Samochodowy był bezwzględnie trudniejszy od poprzednich, chociażby ze względu na długość trasy i jej tempo. Każda poszczególna próba była ciekawym wyczynem. Każda próba klasyfikowała kierowcę i oddzielała mocnych od słabych, jak ziarno od plewy. Przebycie trasy 3.000 kilometrów w przeciągu czterech dni było zadaniem, wymagającym od zawodnika dużej rutyny, no i wytrzymałości fizycznej, Do Szczecina w pewnym etapie np. przebyć trzeba było 875 km, nie przekraczając maksymalnej, dozwolonej regulaminem szybkości 60 km/g, trzeba było tkwić za kierownicą dobrych godzin kilkanaście. Gdy nieraz jakieś niespodziewane defekty zatruwały w drodze spokój zawodnikom, musieli wyrzec się nawet obiadu, byle tylko zdążyć na czas na metę.

Godziny przeznaczone na sen były również policzone, gdyż o 5 rano trzeba już było być w parku celem wykonania niezbędnych robót przy maszynie.

A trzeba było widzieć jaki duch sportowy panował niepodzielnie wśród zawodników, który udzielał się nawet Bogu ducha winnym pasażerom. Co drugi przynajmniej zawodnik miał ambicję zdobycia pierwszej nagrody. A tymczasem kapryśny los właśnie faworytom nie sprzyjał. I tak, Ripper wprawdzie szatańsko grzmiał na swej 8-cylindrowej Bugatti, — cóż, kiedy niezliczona ilość defektów gum, a co za tym idzie, nadprogramowa ilość godzin reperacji, pozbawiła go pierwszej nagrody. Gdy stanął w Warszawie do ostatniej próby zręczności, nie miał już tylnego biegu (w czasie raidu uległ uszkodzeniu), który właśnie w tej próbie odgrywał ważną rolę w wykonywaniu przedziwnych sztuk tyłem maszyny wśród palików, które należało objechać bez wywrócenia.

Otóż w momentach, w których trzeba było jechać tylnym biegiem, Ripper wraz ze swym pomocnikiem wyskakiwał z wozu, pchał go własnoręcznie, by następnie kocim, zwinnym ruchem znaleźć się znów za kierownicą i kontynuować próbę z niesłychaną brawurą. Rozentuzjazmowany



Fot. Film Polski

Odpoczynek wśród gór

tłum po ukończeniu próby wyniósł Rippera na rękach z samochodu. Za ten czyn otrzymał piękną nagrodę.

Mazurek omal że na dzień przed raidem wykończył swego KDF, złożył go sam z poszczególnych części i ten wrak, który przed paru tygodniami leżał gdzieś jeszcze w lesie, rzucił na szalę losu. Srogi pech prześladował w czasie całego raidu tego kierowcę o europejskiej klasie. Lecz kierowcę właśnie tej klasy stać na przegrany raid, gdy przyczyną przegranej tylko wina maszyny, o której można powiedzieć, że sklecona „napoczekaniu". W tejże samej próbie ostatecznej Mazurek pokazał swój „lwi pazur". W rekordowym czasie przejechał w pięknym stylu całą próbę, bo w 20 sekund. Uzyskał nagrodę za najlepszą techniczną jazdę w czasie ostatniej próby.

Bohaterskim wprost wyczynem był wysiłek małej „Simki" Grzyszczuka. Ta mała maszynka sprawiła mu niemało kłopotu, naprawiał defekty w drodze z dużą dozą zawziętości prawdziwego sportowca i jechał dalej. Do Zakopanego przybył dopiero rano, gdy myśmy już wyjeżdżali. — nie spał całą noc i kropił dalej. To kierowca dużej klasy, opanowany i doskonały fachowiec. Otrzymał drugą nagrodę regulaminową w swojej kategorii wozów małych.

W tej samej kategorii zły los prześladował młodego, lecz zapalczywego i doskonale zapowiadającego się kierowcę Gajewskiego na DKW. Silnik mu zdefektował, musiał naprawiać go w warsztacie — nałapał sporo punktów karnych, jechał jednak dalej wytrwale i raid ukończył. O jego dużym wyrobieniu sportowym świadczy fakt, iż jadąc „na straconego" jeszcze swą pomoc ofiarowywał w drodze, stojącemu w lesie Małochlebowi na „Fiacie".

Dwaj znakomici kierowcy, którzy po raz pierwszy startowali w raidzie, wybili się od razu na „czołowych" — to Nowak i Harlak (wiceprezes A. P.) na Citroenach 11 L, jadący w zespole CZM. Harlak to „perła" PKS-u. Zdobyli nagrodę zespołową i wiele innych.

Jedną z przyszłych gwiazd na firmamencie samochodowym, to Pecko (Jelenia Góra), który na swej Dekawce osiągnął wspaniałe wyniki i zdobył aż siedem nagród.

Jedynaczka raidu, Barbara Wojtowiczowa, okazała się kierowczynią wytrawną, opanowaną, zapowiadającą się doskonale na przyszłość, zdobyła trzecią nagrodę regulaminową i jeszcze parę innych.

Andrzejewski na Willysie wysunął się również na czoło kierowców młodszej generacji, uzyskując na ostatniej próbie fantastyczny czas. Zdobył nagrodę.

Inż. Loth na swym DKF z trzema gazikami już dziś jest poważnym i groźnym konkurentem dla najlepszych nawet kierowców; zdobył nagrodę. Łączyński na Fiacie 508 (I-sza nagroda w II kategorii), osiągnął również wyniki nadspodziewane.

Szczupłość miejsca nie pozwala mi niestety wspomnieć o tych i o wielu innych, rokujących jak najlepsze nadzieje, lecz raid ten dał niezaprzeczenie możność wielu, ujawnienia swych zdolności, nieraz zupełnie nieoczekiwanych. Konkurencja na każdym odcinku życia jest potężnym bodźcem, by dalej iść „wprzód"; w dziedzinie sportu ona właśnie sprawia, iż w nadziei zdobycia coraz wyższej „klasy", zawodnik wprost wychodzi z siebie, by sprostać zadaniu i przewyższyć innych i dlatego wszelkie konkurencje na polu sportowym są konieczne, gdyż one właśnie wyłaniają kadry nowych „speców".

Wracając z raidu nadmienić trzeba, iż kierownictwo i strona organizacyjna były bez zarzutu, a świetnie pomyślana trasa pozwoliła uczestnikom raidu, jak w skrócie kinematograficznym ucieszyć oczy widokiem ziemi ojczystej od Nysy po Odrę, — od morza do Tatr. Serce rosło, że to wszystko nasza ojczyzna i że taka piękna!

Rozczulającym był spontaniczny, masowy entuzjazm tłumów, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych, które witały raid całymi snopami świeżych kwiatów, bramami triumfalnymi, ...no i czasem kamyczkiem, niebacznie przytwierdzonym do kwiatów, by lepiej trafiły.

Wyjątkowo sprawna praca organów Milicji obywatelskiej i służby drogowej ułatwiły zawodnikom orientowanie się na trasie. Nie było ani jednego skrzyżowania ulic w mieście i w miasteczkach, żadnego skrzyżowania dróg na szosie, gdzie by nie stał pięknie salutujący „anioł stróż" raidu. Ta sprawność uchroniła również od możliwości wielu wypadków, które przydarzyć się mogły, a nie przydarzyły.

Uroczyste rozdanie nagród w dniu 22 czerwca br. zakończyło XIII Międzynarodowy Raid Samochodowy, który długo uczestnikom pozostanie w pamięci.

Maria Delavaux

NOWE KSIĄŻKI

Gustaw Morcinek — Serce za tamą — Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r. str. 128.

Francois Mauriac — Ciało i krew — Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

Eugeniusz Żytomirski — Ameryka in flagranti — Wydawnictwo „Awir" 1947 r.

Władysław Zambrzycki — Mgła nad Skałdą — Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

André Maurois — Klimaty — Przekład Wacława Rogowicza — Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" 1947 r. str. 230.

Anatol France — Wspomnienia mego przyjaciela — Przykład Gabriela Karskiego — Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r. Str. 209.

Zofia Szymanowska — Opowieść o naszym domu — Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" 1947 r. str. 139.

Ignazio Silone — Chleb i wino — Przekład Stefana Pomiana Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" 1947 r. str. 379.

Kazimierz Wroczyński — Baczność A. R. 7. Opowieść o atomie. — Wydawnictwo „Expressu Wieczornego" 1947 r. str. 227.

Mieczysław Jastrun — Poezje wybrane z portretem autora — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" 1947 r. str. 235.

Leon Kruczkowski — Pawie Pióra. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" 1947 r. str. 291.

Helena Boguszewska

PTAKI

FRAGMENT POWIESCI „CZEKAMY NA ŻYCIE"

Drzwi się otworzyły, wszedł ojciec w swoim zaśnieżonym, grubym płaszczu, z peleryną. Zaraz wionęło mroźnym zimnem, jakby zima weszła razem z ojcem.

Zerwałam się z „otomany pokrytej okruszynami" gdzie wciśnięta w róg czytałam po raz siedemdziesiąty „Historię dziadka do orzechów" — Dumasa. Zerwałam się i stanęłam oniemiała: ojciec trzymał w ręku coś nadzwyczajnego. To była drewniana klatka, mała jak pudełko, a w niej kłębiło się i kotłowało kolorowe pierze, z którego leciały pojedyncze piórka.

— Masz mała, baw się — powiedział ojciec i postawił to wszystko na oknie.

Po chwili kupa pierza rozczłonkowała się, rozpadła na trzy kolorowe ptaki, które przyczaiły się na dnie, czujne, szybko oddychając i od razu zrobiły się wysmukłe i gładkie, jak trzy kolorowe ryby. Ale skoro tylko ktoś się zbliżał do okna, zaczynały się znowu tłuc oszalałe z przerażenia i wytwarzały znowu jeden ruchliwy kłąb, wypełniający całe wnętrze małej klatki.

Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy płakać nad nimi z żałości. Ojciec znikł i wcale się tym więcej nie interesował, powiedziawszy nam, że to na placu Witkowskiego kupił te ptaki i że tam można kupić masę takich i innych ptaków. Mama powiedziała cicho do brata, że boi się, żeby ojciec częściej nie chodził na plac Witkowskiego po sprawunki. Była niedziela. Brat bezradnie rozłożył ręce i znikł przez kuchnię, zabierając łyżwy. Zostałyśmy same z mamą. Zrobiło się cicho. Na oknie szczygieł, czyżyk i gil w pudełku ze szczebli. Za oknem, bez nieba — zimowy dzień.

Nie śmiałam się ruszyć, bo każde zbliżenie pogarszało sprawę. Każdy wysiłek, żeby je nakarmić powiększał ich popłoch. W szaleństwie strachu, nogami i skrzydłami natychmiast rozmiatały wszelkie podane sobie okruchy czy ziarno, wcale w ogóle nie wiedząc, że to jest jedzenie.

Dopiero po pewnym czasie, ulokowane w obszernej starej klatce po kanarku pani Kwietniewskiej, uspokoiły się na tyle, że z tego kłębowiska obłąkanej grozy zrobiły się tym ,co było ich przeznaczeniem. Zrobiły się po prostu ptakami w klatce.

Siadywałam przy nich całymi godzinami, zapatrzona w najdrobniejsze szczegóły ich życia i postaci. Dziwiło mnie, że są takie gładkie i wrzecionowate, a pod wieczór pęcznieją i wtulają głowy w ramiona, z których wyrastają im delikatne włoseczki puchu, jak małe pęczki waty, chwiejące się leciutko. Dziwiło mnie to, że przez cały dzień są energiczne, zaczepne i zadzierżyste, a pod wieczór stają się mrukliwe, ociężałe i senne. Nie żyły w miłości i zgodzie, nie, tego nie można było o nich powiedzieć. Raczej gniewały się wzajemnie na siebie, głupio i bezradnie strasząc się otwartymi dziobami. Jadły dużo i wprawnie wybierały z małych, wprawionych w klatkę blaszanych naczyń co który najwięcej lubił: siemię konopne, rzepak, czy mak.

Im dłużej im się przyglądałam, tym więcej wykrywałam niepojętych dla mnie z początku, drobniutkich jakichś, a rozczulających obyczajów czy cech. Na przykład czyżyk, który najpierwszy się oswoił, i którego wypuszczało się z klatki, lubił siadywać na najniewygodniejszym w świecie miejscu, na lampie, i tam, co chwila zsuwając się i z uporem poprawiając, czochrać dziobem piórka. Gil lubił siedzieć w klatce na patyku na jednej nodze, wtulać drugą z rozczapierzonymi palcami w miękki, puchaty, różowoceglasty brzuch.

To wszystko było bardzo niewiele, ale sprawiało, że można było je lubić, a nie tylko karmić i czyścić po nich klatkę, choć i to wystarczało, żeby stanowić pewne wzbogacenie życia w tym małym ciemnym pokoju.

Pierwszy z tego zespołu ubył szczygieł, nie pamiętam w jaki sposób, zdaje mi się, że po prostu uciekł, wciąż jeszcze dziki i najmniej dający w sobie zauważyć, najmniej znany i najmniej o innych wiedzący.

Czyżyk już prawie stale przebywał poza klatką, do której wracał tylko na jedzenie, ludzi się nie bał, ale do ręki nie szedł, zawsze pełen rozsądku i umiaru, nie posuwając się już dalej w procesie oswajania. Przed wieczorem siadał na zewnątrz klatki, na końcu wystającego z niej patyka i wtulał głowę w ramiona, nad którymi chwiały się leciutko, rozczulająco owe senne puszki. Wstrząsany raz po raz skakaniem wciąż jeszcze dzikiego gila w klatce po patyku, zwracał ku niemu skołataną głowę i gniewnie syczał, otwierając mały dziób. Ku mojej radości powtarzało się to po kilkanaście razy.

Gdy znieruchomiał na dobre, brałam go delikatnie w rękę i wpuszczałam na noc do klatki, pełnego dezaprobaty, ale nie protestującego. Natychmiast zamieniał się w kulę bez głowy i tak trwał do rana, obok wciąż jeszcze tłukącego się niespokojnie gila. Pod wiosnę sam zrobił się niespokojny i w końcu uciekł przez otwarty w pokoju ojca lufcik, spenetrowawszy odpowiedni moment.

Gil pozostał sam i dopiero teraz zaczęło się naprawdę.

Pewnego dnia, przedwieczornie siedząc na swoim patyku, wtulał rozczapierzoną łapę w różowoceglasty brzuch. I nagle zaśpiewał. Zupełnie nie ptasio, tylko chrapliwie i jakby pijacko zaśpiewał prościutką melodyjkę, jakąś poleczkę, jakby dla dzieci:

lalla — la
la — la, laaaa.

Wszyscyśmy się zdumieli. A on powtarzał raz po raz, ludzko i niezmiennie:

lalla — la
la — la, laaaa.

Co to było? Czy był już kiedyś w niewoli i przypomniał sobie nagle, czego go tam nauczono? Czy siadywał niegdyś na pudle kataryniarza i wyciągał kartki z wróżbami swoim grubym, czarnym dziobem małej papugi?

Zachwycona, wsunęłam nieśmiało rękę do klatki: nowe cuda! dał się pogłaskać po grzbiecie, jadł z ręki, wcale się nie bał.

Otworzyłam mu klatkę. Wyszedł, usiadł na wierzchu, śpiewał swoje. Brat mu gwizdał prawie zupełnie ptasio tę jego śmieszną poleczkę, a on odpowiadał prawie zupełnie ludzko i z odcieniem irytacji. Po podanym sobie palcu wchodził wzdłuż ramienia aż na głowę i tam żartobliwie skubał dziobem włosy, nagle pozbawiony instynktownego strachu przed człowiekiem, a nawet poczucia jakiejkolwiek ostrożności. Co to było? Nie dowiedziałam się nigdy. Nie umiałam tego niczym sobie wytłumaczyć.

Wiosna szła i trzeba się było zdecydować, czy ma już całe życie spędzić w klatce? Bo przy otwartych oknach i przy zupełnym braku samozachowawczego instynktu, ciągle narażony był na różne straszne rzeczy. Więc może dać mu uczciwie możność powrotu do wolności?

Zaczynało się już zielenić. W ogrodach było świegotliwie od ptaków. Niezadługo inne gile polecą na północ, wiedziałem przecie o tym choćby z książki „Migration des oiseaux". A wtedy on zostanie sam i wykolei się już całkiem...

Ciężko było się zdecydować. W końcu stanęło na decyzji próby, a nie decyzji rozstania. Niech ma wolność wyboru. A może okaże się, że jest tak przywiązany do mnie, że nie zechce odlecieć, i wtedy już z czystym sumieniem będę go miała przy sobie przez całe życie.

Zaniosłyśmy go z mamą w klatce do Łazienek, bo w pomologicznym ogrodzie było za dużo ludzi. W Łazienkach wybrałyśmy ustronne dzikie miejsce, gdzie nie było nikogo. Pamiętam olbrzymie kopulaste drzewo, na którym zawisła klatka. Pogoda była cicha, ciepła, pachnąca, nigdzie człowieka ani kota. Nie, w żaden sposób nie mogłam go trzymać w klatce na Nowogrodzkiej. Co innego, jeśli sam nie zechce.

Zechciał. Posiedział chwilę w otwartych drzwiczkach klatki, nabrał jakiegoś chytrego wyrazu tawrzy. Z puchatego i dobrodusznego zrobił się gładki i zaczepny. Po-le-ciał!

Ani się nie obejrzał na mnie. Przez chwilę zobaczyłam go jeszcze gdzieś na drzewie, wysoko. Ale to już nie był on. To był jakiś gil.

Milcząc, wracałyśmy do domu. Mamę bolały nogi, aleje były bardzo długie. Żałowałam, że nie były jeszcze dłuższe, żeby jak najpóźniej wrócić do domu z pustą klatką. Przez całą drogę nie powiedziałyśmy ani słowa.

Dopiero na schodach spytałam:

— Jak się mamie zdaje, czy ojciec naumyślnie przyniósł mi te ptaki, żeby mi wynagrodzić, że jestem sama?

— Nie wiem — mama uniosła jedną brew.

Nalegałam:

— Ale jak się mamie zdaje, naumyślnie, czy nie naumyślnie?

Mama namyślała się:

— Zdaje mi się, że nie naumyślnie, że to się tylko tak złożyło. A może...

Czułam, że mówi całkiem szczerze, jak się prawie nigdy nie mówi do dzieci.

Zadzwoniłam. Ojciec otworzył i oczami wskazał, że ma gości.

Szybko w milczeniu rozebrałyśmy się w przedpokoju i przeszłyśmy do jadalnego przez pokój ojca, gdzie siedziało dwóch uczonych. Postawiłam klatkę w kącie na podłodze. Stanęłam przy pustym oknie. Nie widziałam wrót stajni, ani drzwi ustępu prze zasłonę nagłych łez. Skończone.

List do Redakcji

NIE JEST ZAPOMNIANA MOGIŁA SIEROSZEWSKIEGO

Z głębokim wzruszeniem przeczytałem w n-rze 25 (49) „Tygodnia" list ob. Władysława Śliwińskiego zat. „Zapomniana Mogiła" a dotyczący uszczenia pamięci mego Ojca Sp. Wacława SIEROSZEWSKIEGO. W związku z tym listem czuję się w obowiązku wyjaśnić co następuje:

Mogiła Wacława Sieroszewskiego na cmentarzu w Piasecznie nosi charakter prowizoryczny, gdyż od samego początku rodzina zmarłego pisarza postanowiła przenieść Jego zwłoki — jak tylko warunki na to pozwolą — na cmentarz Powązkowski, zgodnie z wielokrotnie wyrażanym przezeń życzeniem.

Wydanie przez „CZYTELNIKA" powieści „Na Kresach Lasów" umożliwia pod względem finansowym zrealizowanie tego zamiaru. Projektowane początkowo na maj rb. przewiezienie zwłok zostało odłożone do jesieni z powodu przedwczesnych upałów, uniemożliwiających ekshumację. Wielbiciele talentu Wacława Sieroszewskiego będą mieli możność uczczenia przy tej sposobności jego pamięci.

Natomiast prosimy Redakcję „TYGODNIA" o nieotwieranie listy składek na pomnik na cmentarzu, a wpłacone przez ob. Władysława Śliwińskiego i ewent. innych ofiarodawców sumy prosimy przekazać (oczywiście o ile ofiarodawcy się zgodzą) na sieroty po poległych Powstańcach.

Pozwalam sobie imieniem rodziny wyrazić ob. Śliwińskiemu i redakcji „Tygodnia" głęboką wdzięczność za pamięć o zmarłym Pisarzu; jednocześnie pragnąłbym złożyć podziękowanie dziatwie szkolnej z Piaseczna za miłą opiekę nad skromną mogiłą na piaseczyńskim cmentarzu.

Z poważaniem
WŁADYSŁAW SIEROSZEWSKI

KRONIKA KULTURALNA

BAWI W KRAJU Antoni Słonimski i wygłasza odczyty o UNESCO. Ta międzynarodowa insytucja stanowi, jak wiadomo, wydział Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw kultury, nauki, literatury i szkolnictwa. Powstała w r. 1945 z siedzibą w Paryżu. Dyrektorem jej jest Huxley „Przegląd Socjalistyczny" (Nr 6/20), jakby na powitanie Słonimskiego, który jest sekretarzem sekcji literackiej UNESCO, pisze złowieszczo, co następuje: „Atmosfera, w jakiej UNESCO rozpoczęło swe prace, nie jest szczególnie sprzyjająca. Ogół świata w chwili obecnej przestał wierzyć w skuteczność instytucji międzynarodowych... Fiasco Ligi Narodów stworzyło stan niewiary, nieopanowany dotychczas przez ONZ... Byłoby niewątpliwie szkodą wielką, gdyby UNESCO upadło, lecz trzebaby większej doli (?) realizmu i skromności w obecnej działalności organizacji, by przyszłość jej stała się bardziej skrystalizowana". Jeżeli, jak by wynikało z powyższego, trudno jest narodom porozumieć się w sprawach kultury — cóż dopiero mówić o polityce?

W TYMŻE NUMERZE „Przeglądu" Grzegorz Timofiejew drukuje urywek swego studium pt. „Żeromski i literatura rosyjska". Z przypisów wnosząc, studium oparte jest na materiale naukowym, zarówno polskim jak rosyjskim. W całości może być cenne, niewiele bowiem mamy prac, ustalających wzajemne związki dwóch największych literatur słowiańskich. Z głęboką wiedzą i wielkim talentem pisarskim pracował w tej dziedzinie przed wojną prof. Wacław Lednicki, jego wszelako bardziej interesowały wpływy polskie na literaturę rosyjską. Timofiejew zajmuje się odwrotnością zagadnienia, które chce prześledzić na całokształcie twórczości Żeromskiego. Ciekawa jest uwaga Timofiejewa o „niepospolitej znajomości psychiki rosyjskiej w dziełach Żeromskiego, znajomości, której by się żaden pisarz rosyjski nie powstydził". Jako przykłady „kapitalnych" postaci Rosjan u Żeromskiego podaje Timofiejew dra Wiłkina z „Mogiły", nauczycieli gimnazjalnych z „Syzyfowych prac", oficera Wiesnicyna z „Wiernej rzeki", Tatjany z „Urody życia". Skąd wziął Żeromski tę swoją wiedzę o duszy rosyjskiej? Timofiejew sądzi, że „nie tyle z obserwacji, ile z odnośnej literatury" rosyjskiej, którą poznał gruntownie. Zapewne jeden i drugi czynnik wchodziły w grę, bez wątpienia bowiem nauczyciele w „Syzyfowych pracach" — to wierne portrety kieleckich nauczycieli samego Żeromskiego, a „Wierna rzeka" osnuta jest na jego rodzinnych tradycjach i opowieściach z r. 1863.

PROF. ADAM SKAŁKOWSKI uchodził przed wojną za rewizjonistę historycznego, acz nie w tym stopniu, co prof. Olgierd Górka. Niespodziankę więc sprawia jego najnowszy artykuł w „Tygodniku Powszechnym" (Nr 24/117) pt. „Somo Sierra". Gdy wielu z nas skłonnych jest potępić Monte Cassino jako nierozwagę polityczną; gdy wychodzą broszury (A. Trepińskiego), przeprowadzające analogie pomiędzy Monte Cassino o Somo Sierrą — prof. Skałkowski stwierdza: „Pisze się teraz wiele o wojennych szaleństwach Polaków, którzy zdobywali się na heroiczne ofiary, bezpłodne dla ich ojczyzny. Wymienia się wśród tych szaleństw ofiarnych Somo Sierrę. Jest to pewien tradycyjny nawyk myślowy, z którym trzeba już raz zerwać, jak z pretensjami do Napoleona I, oskarżaniem go o niewdzięczność w stosunku do naszego narodu... Ci, co się powołują na zatratę legionów na San Domingo, także nie mają pełnej racji... Spełniły one swoją rolę, budząc ducha narodowego po ostatecznym zniweczeniu Rzeczypospolitej i kształcąc kadry oficerskie". Rewizjonizm tedy jest zjawiskiem dwustronnym: może być negatywny i pozytywny. Rzecz zrozumiała, historia bowiem także ma dwa oblicza: materialne i moralne.

St. Łatka

JAN SKULSKI

DZIECI DO DOMU!

Zawierucha wojenna wygnała z kraju i rozrzuciła niemal po całej kuli ziemskiej wiele tysięcy polskich dzieci.

Z jednej strony okupant przywiózł do Niemiec wielotysięczną rzeszę dzieci (o ich tragicznym losie niedawno pisaliśmy), z drugiej strony poza krajem znalazły się dzieci, które wraz z rodzinami, a często już w pierwszych dniach wojny jako sieroty, uciekały z kraju czy to na wschód do ZSRR, czy też znanym szlakiem powrześniowym przez Rumunię, Węgry na zachód i dalej. W 1943 roku poważna część dzieci z terenu ZSRR została ewakuowana wraz z oddziałami Andersa do Iranu i umieszczona w Indiach, w Afryce Południowej, w Rodezji, w Egipcie i w innych krajach Bliskiego i Środkowego Wschodu. Inne znów dzieci znalazły się w zachodnio-europejskich krajach oraz w krajach Ameryki Łacińskiej, a niektóre maleństwa dotarły nawet do Australii i Nowej Zelandii.

Olbrzymi odsetek tych ludzi — to przeważnie sieroty, których rodzice zginęli na frontach lub też na tragicznych szlakach tułaczki. Jak wiadomo, dzieci znalazły na ogół troskliwą opiekę, tak na terenie ZSRR, jak też i na terenie dominiów i kolonii brytyjskich.

W 1945 i 1916 roku dzieci z ZSRR wróciły z powrotem do ojczyzny. Niestety inny jest los dzieci, które rzucone zostały do Azji, Afryki, Ameryki, Australii i niektórych zachodnio - europejskich krajów. Dlaczego w trzecim roku pokoju nasze dzieci nie wracają do Polski? Trzeba na to pytanie dać jasną odpowiedź: dzieci nasze z Azji, Afryki, Australii, Ameryki — nie powróciły dotąd do ojczyzny, bo znajdują się one w moralnej i fizycznej niewoli u ludzi Andersa.

Dzieje się to nie bez pomocy władz brytyjskich i amerykańskich. Dzieci nasze — sieroty — odgrodzone są od Polski murem kłamstw, cynicznych, naigrywań, oszustw i przemocy fizycznej.

Ludzie wyzbyci wszelkich hamulców moralnych uknuli nikczemny plan odebrania dzieciom ich ojczyzny i sprzedania ich obcym, gdzie je czeka niechybne wynarodowienie. Wieści, jakie dochodzą z odległych o wiele tysięcy kilometrów obozów i sierocińców, wywołują zgrozę i oburzenie.

Oto fakty

W Afryce i Rodezji w sierocińcach w Tenke, Kaji, Abercorn przebywa około 3.000 sierot. Kierownictwo tych sierocińców spoczywa w rękach „ludzi Londynu" i oczywista czynią oni wszystko, by dzieci nie puścić do Polski. Rej w tym zbożnym dziele prowadzi przy pomocy odpowiednio dobranego zespołu, pan pułkownik Staszewski, sanator czystej wody, ongiś organizator OZON-u i dyrektor fabryki TESP w Kałuszu w jednej osobie, do niedawna delegat londyńskiego Min. Pracy i Op. Społ. oraz główny doradca dla spraw polskich przy EARA (East African Refugee Administration). Ciesząc się poparciem władz brytyjskich, Staszewski gorączkowo szuka „nabywców dzieci". Oddaje on je na adoptację Burom i organizuje transporty do Brazylii. Księdza Burgielskiego i innych, którzy chcieli dzieci repatriować do kraju, sanacyjna klika Staszewskiego zdołała przez swe stosunki i przy pomocy intryg usunąć od wpływu na sprawę.

W jednym z sierocińców urządzono wśród dzieci „plebiscyt" w sprawie powrotu do kraju. Z 314 dzieci tylko troje wyraziło chęć powrotu — reszta odmówiła. Prasa emigracyjna szeroko rozpisywała się o tym „sukcesie". — W związku z tym emigracyjne pismo polskie w Niemczech „Defilada" — zresztą też organ „nieprzejednanych" — pisało „Dzieci polskie — te rozrzucone drzazgi pnia rozbitego zawieruchą wojenną — współczesne Stasie zabłąkane w pustyni i w puszczy — pytane są czy Polska jest ich ojczyzną. Jest to wątpliwy sukces, gdy na 314 tylko troje dzieci przyznało się do tęsknoty za Polską. Reszta w najlepszym wypadku zostanie adoptowana przez Burów i wyrośnie na afrykańskich plantatorów, kupców, rzemieślników, dla których Polska być może nawet wspomnieniem nie będzie".

Szkoda tylko, że „Defilada" nie wyciąga wniosków z tych słusznych słów i nie wskazuje na robactwo, które obsiadło i toczy te „drzazgi" — dzieci polskie.

Na Bliskim Wschodzie — w Egipcie, Palestynie — znajduje się wiele obozów junackich, w których przebywa kilka tysięcy chłopców w wieku do lat 17. Są oni skoszarowani i podlegają dyscyplinie wojskowej. Spotkałem we Francji młodego chłopca nazwiskiem Edward Baran, który zdołał uciec z obozu junaków w Tel - El - Kabir w Egipcie. Gdy dowiedział się, że jestem z kraju, nabrał zaufania i począł opowiadać:

„Sposób wychowania i traktowania młodzieży w obozie Tel-El-Kabir jest prawdziwą kaźnią. Żelazna dyscyplina — to linia przewodnia tego wychowania. Za najmniejsze przewinienie karne ćwiczenia, ścięcie włosów, tortury cielesne. Było wiele wypadków samobójstw. Tortury cielesne są na porządku dziennym. 25 rózg na gołe ciało. Kolega mój Eugeniusz Stanisław po otrzymaniu 25 rózg zmarł nazajutrz (w tym miejscu Baran pokazał mi fotografię z pogrzebu Stanisława). Postrachem junaków jest mjr. Bohater (zapewne pseudonim). Wszelkie tortury odbywają się pod jego osobistą kontrolą. Gdybym miał tam wrócić, odebrałbym sobie chyba życie — kończy swe opowiadanie Baran.

Oto co cierpią młodzi nasi chłopcy, zamknięci przez różnych „bohaterów" w obozach, z których droga do kraju prowadzi jedynie przez niebezpieczne ucieczki.

W Nowej Zelandii przeszło 700 dzieci tworzy Ośrodek Dzieci Polskich. Dekretem Sądu Najwyższego N. Zelandii powstała Rada Opiekuńcza w Wellingtonie (Polish Children Hospitality Committee), w skład której weszło 5 Polaków i 3 Nowo - Zelandczyków. Ale Rada ta nie myśli bynajmniej o repatriacji dzieci. Nowo - Zalendczycy chcieliby je zasymilować, polscy członkowie Rady tej prowadzą akcję fikcyjnej adoptacji dzieci przez b. żołnierzy Andersa, by ci ostatni mogli z tego tytułu emigrować do N. Zelandii. Tak czy inaczej dzieciom grozi utrata ojczyzny.

Także we frankistowskiej Hiszpanii znajdują się osierocone dzieci polskie. Jak donosi londyńskie pismo sanacyjne „Słowo Polskie" z 10 maja b.r. „w Barcelonie przebywa ponad 100 dzieci, przeważnie sierot, przyjętych przez instytucje hiszpańskie. Dzieci polskie mają zapewnione wychowanie w duchu narodowym (czytaj „faszystowskim" J.S.)... Mamy wreszcie do zanotowania powstanie w Madrycie „Kręgu Harcerstwa" zależnego bezpośrednio od Komendy Naczelnej w Londynie...".

Dzieci są więc nie tylko wynaradawiane, ale też zatruwane duchem faszystowskim przez frankistowsko - andersowską spółkę.

„Kidnapped"

Amerykanie wzbogacili język angielski słowem „kidnapped". Oznacza ono gangsterski proceder porywania dzieci, który, jak wiadomo, był bardzo popularny w Ameryce przed wojną. Widocznie Amerykanie obecnie uważają, że zamiast porywać dzieci amerykańskie, wygodniej, bo taniej, jest zabierać dzieci polskie.

Proceder ten jest tym łatwiejszy, że ludzie „Londynu" stoją do ich usług.

W Meksyku w Santa Rosa i w Indiach w Kolhapur znajdowało się po kilkaset sierot polskich. Dzieci te miały być repatriowane do kraju. W międzyczasie zostały one przez andersowskich swych „opiekunów" wywiezione do Ameryki i w większości adoptowane przez amerykańskie rodziny. Ambasada nasza w Waszyngtonie interweniowała w tej sprawie, ale jak dotąd — bez skutku. Andersowscy „naganiacze dzieci" zacierają z tego powodu ręce. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" — organ Andersa — w numerze z 8 maja b. r. w korespondencji ze St. Zjednoczonych w następujący sposób pisał o tej sprawie: „Pewnego dnia dwaj młodzi ludzie wmaszerowali do jednego z gabinetów Departamentu Stanu z interwencyjnymi wyrazami twarzy. Chodzi o te dzieci. Mają wrócić do Polski, szczególnie te z Indii, ale i te z Meksyku również. Rząd tego się domaga, bo rząd jest jedynym opiekunem obywateli polskich za granicą. Dzieci „wywieziono" do St. Zjednoczonych i oddano w obce ręce bez porozumienia z rządem. Podobno nawet w Polsce znaleźli się rodzice, którzy domagają się zwrotu swych dzieci...".

Odpowiedź była grzeczna i prosta, St. Zjednoczone załatwiły sprawę imigracji dzieci polskich zgodnie z przepisami prawa i w zgodzie z prawnymi opiekunami dzieci, którymi byli — w Indiach na przykład — **ludzie mianowani przez sąd okręgowy w Bombaju"** (podkreślenie nasze).

Tak więc według andersowskiego pismaka nie Polska, lecz sąd w Bombaju jest upoważniony do dysponowania losem dzieci polskich. Zakrawa to — jak zresztą w ogóle ton przytoczonego ustępu — na cyniczne kpiny z nieszczęśliwych sierot.

Los dzieci z Indyj i Meksyku nie jest bynajmniej odosobnionym wypadkiem, lecz epizodem systematycznej akcji.

W Niemczech działa amerykańska centrala „skupu dzieci". W Heidelbergu akredytowana jest przy UNRRA instytucja „USCOom for Care for European Children", która zakupuje po 100 dol. am. zdrowe dzieci narodowości alianckiej i wysyła je do Ameryki. Niedawno z Bremy odpłynął statek wiozący 600 dzieci w tej liczbie i dzieci polskie, przebywające dotąd w specjalnym obozie w Anglosterhausen w okolicach Monachium.

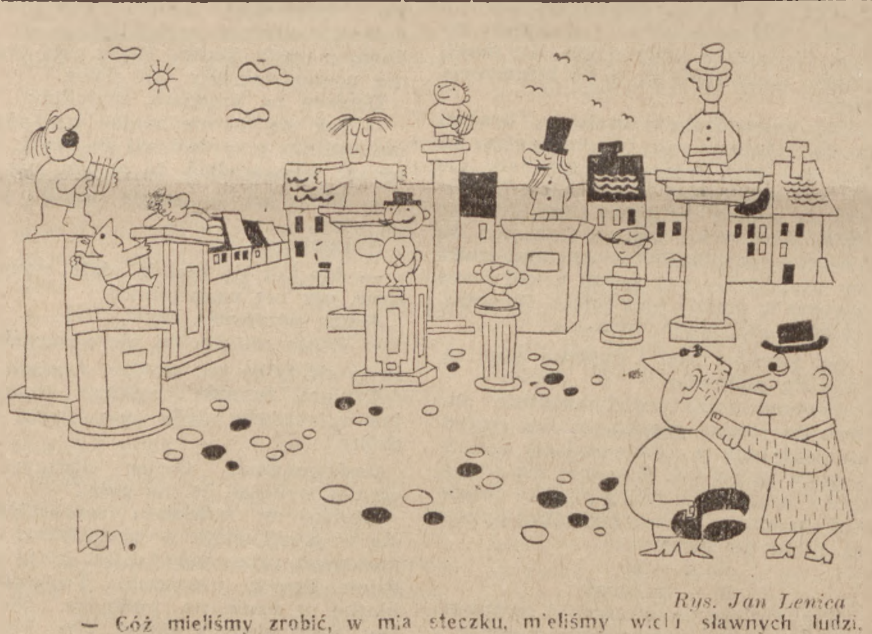
Fakty te nie wymagają chyba komentarzy.

×

Społeczeństwo polskie żywi głęboką wdzięczność za materialną pomoc Amerykanów dla dzieci polskich w czasie wojny, jak też i obecnie. Ale musimy stanowczo oświadczyć ludziom wierzącym, że za dolary można wszystko nabyć, że dzieci są naszym i wyłącznie naszym skarbem, którego nie można za nic — nawet za dolary nabyć.

Dla andersowskich pachołków pozostaje nam tylko odraza. Warto przy tym przytoczyć pewną wiadomość — nie mającą zresztą nic wspólnego ze sprawą dzieci polskich — jaka ukazała się w londyńskim „Słowie Polskim" w numerze z 8 maja 1947 r.:

„Odnalazły się kradzione przez Rosjan dzieci niemieckie", głosi tytuł, „Berlin —W sowieckiej strefie Niemiec giną od dłuższego czasu dzieci niemieckie. Przez długi czas nie można było ustalić, gdzie się one podziewają i nic nie pomogły interwencje socjal - demokratów i chrześcijańskich demokratów u władz sowieckich, czynione na skutek próśb zrozpaczonych rodziców. Wywiadowi brytyjskiemu udało się obecnie ustalić, że dzieci te zostały umieszczone przez Rosjan itd... „Oczywiście jest to bzdura a la Goebbels. Ale ta troska o biedne porywane dzieci niemieckie na tle nikczemnego handlu dziećmi polskimi daje nam pełny i odrażający obraz upadku moralnego londyńskich bankrutów. Społeczeństwo polskie domaga się powrotu wszystkich dzieci i nigdy nie pogodzi się, by były one przedmiotem handlu. Dzieci polskie muszą wrócić — DO POLSKI — DO DOMU!



Rys. Jan Lenica

— Cóż mieliśmy zrobić, w miasteczku, mieliśmy wielu sławnych ludzi, a plac jest tylko jeden!..

Zamknięcie posiedzenia Rady Nadzorczej „Społem"

Pod znakiem oszczędności. Przeciwko nieuzasadnionym atakom na spółdzielczość

W drugi dniu obrad Rady Nadzorczej „Społem" Toczyła się dyskusja nad sprawozdaniem Zarządu. Miała ona miejscami gorący przebieg. Chodziło przecież o omówienie całokształtu sytuacji spółdzielczości i o ustosunkowanie się do zarzutów wytaczanych przez pewną część prasy i działaczy politycznych.

Głosy krytyczne reprezentowali głównie poseł Ochab i prezes Związku Rewizyjnego Pszczółkowski. Zarzuty ich sprowadzają się generalnie do: 1. zbyt powolnego tempa oszczędności. Zamierzone redukcje, które miały objąć 3,5 tysiąca osób ograniczyły się do 1,5 tysiąca. 2. Obrotów handlowych z kupcami prywatnymi, które poza wódką wynoszą w marcu 28,8 proc. 3. Zbyt wielkiego procentu artykułów monopolowych w ogólnym obrocie. 4. Zbyt wygórowanej, zdaniem mówców, marży zarobkowej, którą zwiększają jeszcze obroty wewnętrzne pomiędzy poszczególnymi wydziałami, delegaturami itd. 5. Niedotrzymania umowy ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Spółdzielnie te zostały pominięte w akcji „przemysł dla wsi" Aparat instrukcyjny „Społem" nie współpracuje przy zakładaniu nowych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Wicemarszałek Szwalbe wygłosił przemówienie, będące odpowiedzią na szereg zarzutów pojawiających się w prasie oraz rzucanych z mównicy sejmowej. Spółdzielczość jest ważnym i podstawowym czynnikiem budowy ustroju demokratycznego. Rzecz w tym, że istnieją pewne różnice w zapatrywaniach na metody i zakres działania spółdzielczości pomiędzy PPS i PPR.

Są pewne dziedziny działalności gospodarczej, przypadające w udziale spółdzielczości z natury powierzonych jej zadań. Z tych dziedzin nie należy jej usuwać. Nie dążymy do „Rzeczpospolitej Spółdzielczej". Nie chcemy dla spółdzielczości przemysłu kluczowego. Natomiast było by niesłuszne, gdyby Państwo odebrało jej np. dystrybucję towarów w zakresie detalicznym. Mówca wypowiedział się przeciwko nieuzasadnionym atakom części prasy, nie opartych na danych rzeczowych i nawoływał do rozładowania niepotrzebnie napiętej atmosfery.

Odnośnie poszczególnych zarzutów i uwag wypowiadali się członkowie Zarządu. Dyr. Wydziału Spożywczego A. Przybyliński wyjaśnił, że zarzut zbyt dużego udziału w obrocie artykułów monopolowych w porównaniu z artykułami pierwszej potrzeby polega na nieporozumieniu. Jako podstawę do porównania wzięto tutaj cenę sztywną artykułów zreglamentowanych i stąd powstało błędne ujęcie. Tak np. wartość rozprowadzonych 50 tysięcy ton cukru zreglamentowanego po cenie urzędowej wynosi 405 milionów złotych. Cena komercyjna tego cukru wynosi 8 miliardów zł. Nie można brać dwóch różnych cen za podstawę do obliczenia stosunku procentowego w obrocie poszczególnych towarów. Należy przyjąć jeden wskaźnik i dopiero wyprowadzić wnioski. Towary UNRRA i inne reglamentowane wynoszą w tonażu ok. 2 milionów ton. Ich wartość po cenach sztywnych wynosi ok. 7 miliardów zł, zaś po przerachowaniu na ceny wolnorynkowe — 74 miliardy zł. Przy uwzględnieniu tego właściwego stosunku okaże się, iż udział artykułów monopolowych w obrocie „Społem" stanowi niespełna 12%.

Jeżeli chodzi o obrót z kupcami prywatnymi, to wynika on w głównej mierze z zadań interwencyjnych, „Społem". Nie można jednocześnie żądać od „Społem" interwencji w jak najszerszym zakresie i zabraniać mu rozprowadzania towaru interwencyjnego szczególnie pierwszej potrzeby wśród kupców prywatnych np. mąka do piekarń. Dyr. Działu Finansowo-Rachunkowego Gibuła stwierdził, iż koszty handlowe Społem nie przekraczają 5,3% obrotu wg. cen rynkowych. Co do zarzutów, dotyczących umowy ze Zrzeszeniem Samopomocy Chłopskiej, to postawiono sprawę tę odłożyć z uwagi na to, iż zarzuty są wzajemne. W dyskusji zabierali głos członkowie Zarządu: Niemiec, Piotrowski, Kusto, Fedecki, Lenk i inni.

Prezes Żerkowski zakonkludował swoją replikę postulatem stworzenia jednej centrali spółdzielczej rewizyjno-gospodarczej oraz ułożenia warunków współpracy ze Zw. Sam. Chłopskiej.

Rada Nadzorcza uchwaliła m. inn. następujące wnioski.

Doprowadzić do znacznej redukcji wydatków. Dochodowość Związku powinna się kształtować w granicach 1 — 1,5% do dochodów zewnętrznych.

Zmniejszyć obroty z kupcami prywatnymi, aż do całkowitej ich likwidacji.

Podnieść udział spółdzielni na rzecz Związku do 150 zł, od każdego członka.

W dalszych wnioskach Rada Nadzorcza wzywa członków władz „Społem" i innych działaczy spółdzielczych, ażeby wpływali na władze państwowe i ustawodawcze w tym kierunku, żeby możliwości gospodarcze spółdzielczości były w pełni wykorzystane. Dalej zadeklarowano udział w walce ze spekulacją i drożyzną przede wszystkim przez rozbudowę spółdzielni i domów towarowych.

Na wniosek wicemarszałka Szwalbego Rada Nadzorcza zaapelowała do prasy demokratycznej, aby w polemice prasowej operowała wyłącznie rzeczowym i sumiennie skontrolowanym materiałem faktycznym oraz nie traciła z oka dobra i konieczności przyśpieszenia rozwoju ruchu spółdzielczego. Rada Nadzorcza wezwała wszystkich swych członków do oddziaływania w tym duchu na bliskie im organa prasowe.

Sekretarz generalny Zw. Zaw. Pracowników Spółdzielczych H. Jędrzejewski odczytał uroczysty protest Zarządu Głównego Związku przeciwko szarganiu dobrego imienia pracowników spółdzielczego przez część prasy.

Na wniosek min. A Rapackiego uchwalono następującą rezolucję:

„Rada Nadzorcza „Społem" Zw. Gospodarczego Spółdzielni R. P. wyraża uznanie ogółowi pracowników spółdzielczych za jego obywatelską i wydajną pracę, która przyczyniła się do pozytywnych wyników osiągniętych przez spółdzielczość w służbie ludu pracującego.



Odbudowane przez spółdzielczość domy w Szczecinie

Ależ ci Francuzi...

Od pewnego czasu czynię daremne wysiłki, żeby się dowiedzieć czegoś pewnego o egzystencjalizmie.

Jest to najnowszy prąd filozoficzny czy też kierunek filozoficzny we Francji, o którym nie wiem, czy należy mówić, że jest tam rozpowszechniony, czy też popularny, czy po prostu modny: nic ścisłego rzec nie można; jedno chyba tylko, że egzystencjalizm jest głośny. Każdego literata polskiego powracającego z wyprawy do Francji (a wojażuje ich nie mało dla własnej przyjemności i w misjach urzędowych), pytam natychmiast: co pan powie o egzystencjalizmie? Żaden nie umie dać dokładnej odpowiedzi, toteż zastanawiam się nieraz, poco nasi literaci podróżują do Francji: być w Paryżu i nie zapoznać się z egzystencjalizmem, to jakby jechać do Rzymu i nie zobaczyć papieża. Jeden tylko z literatów objaśnił mię, że jest to prąd dosyć naturalistyczny, ponieważ jakąś rolę odgrywają w nim „fekalia" czyli wydzieliny organizmu ludzkiego.

Takie objaśnienie nie wystarczyło mi. Najlepszym wyjściem z moich wątpliwości byłoby przeczytanie książki J. P. Sartre'a, głosiciela nowej nauki, p.t. „L'existencialisme est un humanisme", która roku zeszłego wyszła w Paryżu i została już przełożona na dziewięć języków europejskich. Oświeciłaby mię, czym jest ten kierunek dzisiaj, i jaki jest jego rodowód historyczno - ideowy, wywodzi się on bowiem podobno od duńskiego, protestanckiego myśliciela Kierkegaarda sprzed stu laty. Wybór pism tego myśliciela religijnego, którego — jak później Strindberga — męczył przede wszystkim stosunek wzajemny mężczyzny i kobiety, wyszedł był niegdyś u nas w wydawnictwie lwowskim „Symposionu", i czasu okupacji sprzedawano go w wózkach ulicznych po Warszawie. Może jeszcze jakieś egzemplarze Kierkegaarda ocalały.

Więc należałoby przeczytać książkę Sartre'a. Ale ani je oryginału, ani przekładu w Polsce nie ma. Mówi się u nas o egzystencjalizmie, pisze się o nim sążniste artykuły (np. ostatnio w „Warszawie" Nr 8/16). Jednakże nikt go, że tak powiem, w ręku nie miał. Bardzo to po polsku.

Nie mogąc zaczerpnąć wiedzy u źródła, zdany jestem na informacje z drugiej ręki. Czytam tedy o egzystencjalizmie artykuły w naszej prasie literackiej. Biorę dwa pisma — „dwa na krańcach swych przeciwne bogi" — „Tygodnik Powszechny" i „Kuźnicę", w przekonaniu, że znajdę najprostsze rozwiązanie zagadki egzystencjalizmu: dwa to bieguny ideowe, prawda przeto, jak równik, będzie leżała pośrodku. Efekt lektury niespodziewany: i „Kuźnica" i „Tygodnik" potępiają egzystencjalizm. Dla „Kuźnicy" jest to kierunek kawiarniany, niepoważny, „nieczysty naukowo", chorobliwie liberalistyczny; uważa ona, że filozofów egzystencjalizmu trzeba by tak wypędzić, jak Ateńczycy wygnali raz z miasta swoich złych filozofów, wyrzucając im „brak troski o dobro republiki". „Tygodnik Powszechny" „wyraża wobec egzystencjalizmu nieufność z powodu jego protestanckiego pochodzenia" i wytyka mu również liberalizm, ponieważ egzystencjalizm naucza, że „jedyną prawdziwą rzeczywistością jest istnienie jednostki". Zgodność opinii „Kuźnicy" i „Tygodnika" staje się zrozumiała w świetle wyznania, jakie złożył współpracownik obu pism i pisarz katolicki — Jerzy Zagórski: „Dla mnie jako katolika — oświadczył na zjeździe literatów — zrozumialszy jest marksizm niż liberalizm, zachodzi bowiem potrzeba walki z zarysowującym się silnym nurtem nihilistycznym, który odrasta w Europie zachodniej". Możliwe, że w celu walki z nihilistycznym egzystencjalizmem wyjechał właśnie Zagórski do Paryża na stanowisko radcy kulturalnego przy Putramencie. Miał przed wyjazdem kłopoty z rynsztunkiem t.j. z frakiem, ale wybrnął z nich. Szczęść mu Boże.

Nie znajdując dostatecznych informacyj z drugiej ręki o egzystencjalizmie w prasie krajowej, starałem się poszperać w prasie zagranicznej i naszej emigracyjnej. „Wiadomości", wychodzące w Londynie, są tym razem tegoż zdania, co „Kuźnica" i „Tygodnik": osobliwy to wypadek, żeby trzech Polaków było jednego zdania. „Wiadomości" określają naukę Sartre'a jako niezdyscyplinowaną i niezorganizowaną, twierdząc, że „postawa jego przypomina żywo postawę rozbitków po klęsce, wyrażająca się w okrzyku: „wszystko stracone — ratuj się, kto może"*). Inaczej sądzi czasopismo „Life". Opowiada ono o pobycie Sartre'a w Stanach Zjednoczonych. Podróż filozofa przez Stany była pochodem triumfalnym. Amerykanie witali go jako nauczyciela wolności, wyzwalającej jednostkę ludzką, która się zaczyna odradzać w Europie po epoce faszyzmu. Odmiennie wyrokuje o egzystencjonalizmie „Prawda" moskiewska w artykule swego naczelnego publicysty — Zasławskiego: egzystencjonalizm — pisze — to ucieczka od rzeczywistości w świat przeżyć osobistych, to bezideowość i cynizm, echa dekadentyzmu z końca w. XIX, schyłkowość i zgnilizna moralna, ostatni dech rozkładającego się faszyzmu; jego wyznawcy zaś to „smiertiaszniki" czyli umarlaki, truposze. Wreszcie wzmiankowany już numer „Warszawy" usiłuje streścić egzystencjalizm w tych słowach: „Najważniejszym chyba momentem tej filozofii jest problem wolności... Człowiek jest skazany na pozostanie wolnym... i jako taki posiada całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co czyni i myśli... Egzystencjalizm nie zajmuje żadnego stanowiska w dyskusji między materialistami a idealistami, i tak się zdarza, że niektórzy zwolennicy tej teorii są praktykującymi katolikami, inni — materialistami i ateuszami".

Musimy przyznać, że obiektywnie przytoczone powyżej sądy i mniemania o egzystencjalizmie, zachęcają do zawarcia z nim znajomości; egzystencjalizm zaczyna intrygować. Co to może być? Fekalia czy problem wolności? Mimo trudności bezpośredniego z nim kontaktu, spróbujmy zbliżyć się do niego, przedzierając się przez zawiłe i sprzeczne ze sobą jego tłumaczenia, jakie możemy wyczytać w różnych pismach. Ale temu zbliżeniu musimy poświęcić osobny felieton, który bynajmniej nie będzie rościł pretensji do jakiegokolwiek „naukowego" i gruntownego ujęcia rzeczy. Będzie gawędą. I kto wie, czy Sartre, gdyby ją przeczytał, nie byłby z niej zadowolony, bo Francuzi lubią — od czasów Montaigne'a i dawniej — mówić o wielkich rzeczach z prostotą i z uśmiechem. Wielu cudzoziemców nie umie odczuć i zrozumieć uśmiechu francuskiego — tego, co się nazywa banalnie „le vrai sourire de France", i tego również, co można określić jako „je-m'en-fiche'yzm". Nie wiedzą, co się pod nim kryje. Sądzą z pozorów. Podobni bywają do owego urzędniczyny z noweli Gogola — pana Akakjusza, który, ujrzawszy pierwszy raz w życiu jakiś obrazek francuski, pokiwał głową i rzekł:

— Ależ ci Francuzi! Co tu mówić! Jak już coś wymyślą, to niechże ich... Cóż to za zepsuty naród.

JERZY WYSZOMIRSKI

*) Złośliwiec gotów zażartować, że „Wiadomości" przejrzały się w Sartre'ze jak w lustrze.

Zbigniew Turski

PRAGA i KOPENHAGA

DWIE MUZYCZNE PODRÓŻE

Wyjazd do Pragi na wiosenny festiwal muzyczny licznej polskiej delegacji był oddźwiękiem nie tylko świeżo restytuowanych więzów przyjaźni między słowiańskimi sąsiadami, ale i wyrazem szczerych zainteresowań osiągnięciami artystycznymi czeskich kolegów.

Mimo, że daleki jestem od bezkrytycznego zachłystywania się entuzjazmem na wspomnienie wszystkiego, co widziałem w Czechosłowacji, muszę stwierdzić, że wrażenia praskie to mieszanina uczucia radości, podziwu i... zazdrości.

Ucieszyło mnie niesłychanie serdeczne przyjęcie, jakiego doznała polska delegacja, którego wyrazem była szczera gościnność oraz dyskretna, nie narzucająca troskliwość o nasze wygody. Jestem pełen podziwu dla doskonałej organizacji festiwalu i jego wysokiego poziomu artystycznego. Skrycie zazdroszczę artystom czeskim unormowanych warunków egzystencji i sprzyjającego klimatu dla pracy artystycznej.

Manifestowanie szczerej przyjaźni dla Polaków podkreślane jest na każdym kroku. Nie było dziełem przypadku, że festiwal rozpoczął się wykonaniem uwertury koncertowej Jana Maklakiewicza, że pierwszy utwór odegrany przez wspaniały „Czeski Nonet" był dziełem polskiego kompozytora Witolda Rudzińskiego, że pierwszy odczyt na zjeździe kompozytorów i krytyków muzycznych został wygłoszony przez polskiego muzykologa dr Stefanię Łobaczewską. W każdym oficjalnym przemówieniu czeskich gospodarzy znalazło się wiele ciepłych zdań poświęconych sprawom polskim. Uprzejmość i życzliwość oficjalnych organizatorów festiwalu — jak np. prezesa Czeskiego Związku Kompozytorów Antoniego Cejki, czy kierownika działu polskiego w Ministerstwie Informacji inż. Adolfa Maleka tak samo jak i „cywili festiwalowych" w osobach literata Jana Holuba lub reżysera Narodowej Opery Józefa Munclingra — wytworzyły atmosferę, w której nasza wizyta w Pradze straciła niemal charakter oficjalny, zmieniając się w pobyt u najbliższych przyjaciół.

Organizacja życia artystycznego w Czechosłowacji zrobiła wrażenie skończonej w ujęciu formalnym i pozbawionej cech prowizorki. Twórczość artystyczna posiada doskonały klimat dla swego rozwoju. Zorganizowana współpraca czynników rządowych ze związkami i instytucjami artystycznymi gwarantuje troskliwą i przemyślaną opiekę nad artystami — twórcami.

Związek kompozytorów w Czechosłowacji różni się swoją strukturą od związku polskiego. Wchłonął kompozytorów wszelkiego autoramentu, tworząc sekcje muzyki poważnej i rozrywkowej, oraz przyjął czeskich muzykologów i krytyków muzycznych. Dla spraw muzycznych spełnia również rolę naszego Z.A.I.K.S.-u. Rozbudowę Czeskiego Związku Kompozytorów spowodowały względy ekonomiczne. Wysoki procentowo opodatkowanie muzyki lekkiej na rzecz muzyki poważnej pokrywa ok. trzeciej części budżetu związku. O wyrównanie niedoboru troszczy się państwo. Czeski Związek Kompozytorów operuje w obecnej chwili półtoramilionowym rocznym preliminarzem budżetowym, całkowicie pokrytym przez dochody własne i państwo. Biorąc w rachubę siłę nabywczą korony, wynosi to ok. 25 milionów złotych polskich. Sytuacja materialna kompozytora czeskiego wydaje się bliska całkowitego zaspokojenia jego potrzeb. Sytuacja artystyczna nie pozostawia niemal nic do życzenia. Świetne orkiestry czeskie wykonują każdy dobry utwór kompozytora czeskiego, soliści czescy uważają za obowiązek wprowadzić do swych repertuarów współczesne kompozycje czeskie, radio posiada liczne nagrania współczesnej muzyki czeskiej, które często nadaje w swych programach. Do stworzenia właściwego klimatu dla życia artystycznego w Czechosłowacji przyczynia się w wielkiej mierze umuzykalnienie społeczeństwa czeskiego. Żywy udział szerokich mas w ruchu artystycznym był dla polskiej delegacji egzotyczną i godną zazdrości „ciekawostką" z zakresu uspołecznienia i upowszechnienia kulturalnego w Czechosłowacji. Takiego entuzjazmu jaki panował na salach koncertowych w Pradze nie spotyka się u nas nawet na meczach piłki nożnej ani wyścigach konnych na Służewcu. Troskliwa opieka państwa nad artystą czeskim i żywe zainteresowanie sprawami sztuki, jakie przejawia społeczeństwo czeskie, pozwala na stawianie jak najlepszych horoskopów rozwojowi twórczości artystycznej naszego słowiańskiego sąsiada.

Emanacją czeskiej dojrzałości kulturalnej był festiwal, którego poziom artystyczny i organizacyjny był bardzo wysoki. Niektóre wykonania wręcz genialne. Takim było np. wykonanie symfonii liturgicznej Honeggera przez czeskich filharmoników pod dyrekcją francuskiego kapelmistrza Karola Muncha. Munch oraz dwaj wspaniali czescy dyrygenci Rafael Kubelik i Wacław Talich dali szereg tak świetnych kreacji odtwórczych, że — uwzględniając doskonałość praskich orkiestr — można by te wykonania nazwać kongenialnymi odtworzeniami ludzkiej myśli twórczej.

Festiwal praski nie miał prawie słabych punktów. Słuchanie mało interesującej symfonii Coplanda (U.S.A.) nagrodziły takie dzieła, jak: symfonia koncertująca Martina (Szwajcaria), symfonia liturgiczna Honeggera czy świetna symfonia czeskiego kompozytora Martinu. Do najciekawszych imprez festiwalowych zaliczyłbym — poza wszystkimi siedmioma koncertami symfonicznymi — operę Janacka: „Katia Kubanowa", ćwierćtonową operę Haby: „Matka", pokaz ludowych tańców i śpiewów morawskich, koncerty wspaniałej orkiestry pod dyrekcją Talicha, recital skrzypcowy Ojstracha (Z.S.R.R.), fortepianowy Guldy (Austria) oraz szereg koncertów kameralnych jak: „Nonetu czeskiego", kwartetu filharmoników londyńskich, kwartetu imienia Ondriczka, wreszcie koncert czeskiej muzyki kościelnej, który odbył się w kościele loretańskim w Pradze. Do ciekawostek należał koncert współczesnej muzyki chińskiej i pokaz dokumentarnych filmów muzycznych jak np. dzieję londyńskiej filharmonii w czasie ostatniej wojny światowej.

Polską twórczość muzyczną reprezentowała, otwierająca festiwal, uwertura koncertowa Jana Maklakiewicza, jedno z ostatnich dzieł kompozytora. Praskie wykonanie było prapremierą tego doskonale brzmiącego utworu. Prapremierą było również odtworzenie przez słynny „Nonet Czeski" nonetu Witolda Rudzińskiego, dzieła zwartego, zbudowanego z konsekwentnym konstruktywizmem. Polskie kompozycje, tak samo na festiwalu praskim jak i w Kopenhadze na międzynarodowym festiwalu muzyki współczesnej, reprezentowały wysoki poziom twórczości muzycznej. Szczególnie silnie kontrastował koncert na fagot Michała Spisaka — doskonale akompaniowany przez duńską orkiestrę pod dyrekcją Andrzeja Panufnika, — z szarzyzną muzyki skandynawskiej, zajmującej wiele miejsca w programach festiwalu kopenhaskiego.

Mimo poprawnych na ogół wykonań, wrażenia artystyczne wyniesione z gościnnej Kopenhagi były blade w porównaniu z praskimi. Niewielka liczba ciekawych dzieł muzycznych wybijała się jaskrawo z szeregu wybitnie zachowawczych kompozycji współczesnych. Ta właśnie „antymodernistyczna współczesność" wycisnęła na „Festiwalu muzyki współczesnej" w Kopenhadze piętno „zastoju inwencji twórczej", a brak niepokoju towarzyszącego wszelkim nowym prądom w twórczości artystycznej wywołał zjawisko nudy. Nawet — reklamowany jako ultramodernistyczny — duński balet Riisagera i Landera p. t. „Qarrtsiluni" był mocno spóźnionym epigonizmem prądów tanecznych z okresu dalkrozońskiego i labanowskiego, a muzyka tego baletu nieporadna w poszukiwaniu nowatorskich form i w wyniku naiwna. Świeży powiew na salę koncertową wniosła kompozycja wokalno instrumentalna młodego włoskiego kompozytora Gino Negri. Wielką przyjemność sprawiło wykonanie — słyszanej uprzednio w Pradze — symfonii koncertującej Martina.

Ogólne wrażenia artystyczne wyniesione z Danii niezbyt korzystnie kontrastowały ze wspomnieniami festiwalu praskiego. Mimo poprawnej organizacji festiwalu w Kopenhadze, czuło się tam małe zainteresowanie sprawami sztuki.

Odczuwało się wyraźnie przerost cywilizacji nad kulturą. Stąd może wspaniałe wyposażenie orkiestry w najlepsze instrumenty muzyczne, dające swoje koncerty w nowoczesnych salach (np. piękna i luksusowo urządzona sala duńskiego radia w Kopenhadze) są poprawne w znaczeniu artystycznym. Tylko poprawne — nic więcej. Brak im wspaniałej dynamiki orkiestr czeskich, brak śpiewności, którą słyszeliśmy w partiach czeskich grup instrumentów dętych, brak wreszcie jakiegoś indywidualnego oblicza artystycznego. Orkiestry duńskie dorastają do wysokiego poziomu ucywilizowanej Danii. Są sztywne, pedantyczne i tak, jak duńscy kompozytorzy współcześni, nie nawiedzone wątpliwościami i problemami artystycznymi.

Nadarzająca się okazja porównania „stylów życia artystycznego" w Czechosłowacji, Danii i Polsce nasunęła następujące dosyć lapidarne porównanie: „Styl czeski — to idea i organizacja, duński — to organizacja bez idei, polski — idea bez organizacji.

Stąd może wynika, że z tych trzech państw jedynie w Czechosłowacji problem upowszechnienia sztuki można uważać za rozwiązany.

Niewątpliwie do rozkwitu sztuki muzycznej w Czechosłowacji przyczyniła się głęboko zakorzeniona tradycja, która uczyniła naród czeski jednym z najmuzykalniejszych na świecie. Przyczynił się także stosunkowo niewielki procent zniszczeń, jakie powstały wskutek działań wojennych. Ja osobiście odniosłem wrażenie, że w lwiej części zwycięstwo muzyczne w Czechosłowacji należy przypisać czeskiemu muzykowi, tak artyście, jak i organizatorowi. Otóż każdy prawie muzyk praktykujący, czy muzyk — organizator czeski, robi wrażenie człowieka rozumnego i zrównoważonego. Tak jak Polak — ze swoją wrodzoną skłonnością do fantazjowania — robi często wrażenie genialnego reorganizatora. Być może, że nasze permanentne reorganizowanie życia artystycznego i czeskie stałe organizowanie przyczyniło się w wielkiej mierze do różnic w osiągnięciach.

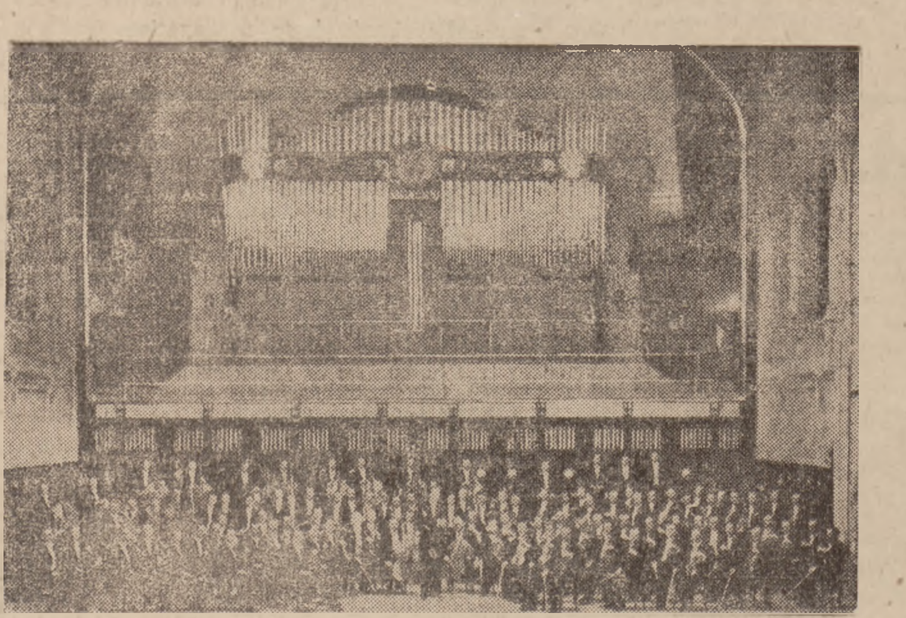
Na tle obu festiwali różnice w osiągnięciach naszych i czeskich, czy duńskich zarysowały się tym wyraźniej i tym jaskrawiej wystąpiły nasze braki. Przykro to stwierdzić, że np. dziś nie moglibyśmy sobie pozwolić na zorganizowanie festiwalu na poziomie choćby imprezy kopenhaskiej. Nie brak nam możliwości stworzenia jednej wielkiej orkiestry symfonicznej „na poziomie europejskim". Mamy na to dostateczną ilość doskonałych instrumentalistów. Mamy wybitnych dyrygentów, wirtuozów. Najstraszliwszym brakiem naszym jest stała płynność i zmienność celów do których dąży nasze muzyczne życie organizacyjne, często wbrew opinii ogółu artystów. Brak trwałego planu, stałych metod działania i brak ludzi, którzyby tak jak nasi koledzy czescy potrafili oddzielić sprawy artystyczne od personalnych i ekonomicznych. Po prostu zbyt wielu genialnych reorganizatorów a za mało ludzi zwyczajnych a rozumnych.

Z tymi dość ponurymi refleksjami przyjechałem do Gdyni. Skoczyliśmy coś „przegryźć". Przy płaceniu rachunku za wątróbkę w dzień bezmięsny okazało się, że wódka znacznie podrożała. Twarze moich kolegów rozpogodziły się, ponure myśli rozwiała atmosfera domu rodzinnego. Gdy w Warszawie dowiedzieliśmy się na wstępie, że pewna instytucja zawiesiła wypłaty subwencji dla artystów do czasu przereorganizowania się, błogie uśmiechy wypłynęły na nasze całkiem już rozpogodzone oblicza.

Sic transit nostalgia nostra.



Rafael Kubelik, syn Jana Kubelika, twórca opery „Weronika"



Filharmonia czeska w Pradze

CENTRALA KRAJOWEJ SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW KOLEJARZY

POWRÓCIŁA DO WARSZAWY

Czysty, widny, świeżo odrestaurowany lokal w okolicy Placu Narutowicza, przy ul. Kaliskiej 9, to nowe pomieszczenie Centrali Krajowej Spółdzielni Spożywców Kolejarzy.

Po powstaniu warszawskim w 1944 r. Centrala K. S. S. K. podzieliła los wszystkich mieszkańców Warszawy: została zniszczona, rozgrabiona, pracownicy jej wyrzuceni, częściowo wywiezieni do obozów. Centrala oparła się w Radomiu. Ówczesny dyrektor K. S. S. K. Jan Żerkowski, zgrupował tam nielicznych ocalałych pracowników i rozpoczął żmudną pracę scalania rozbitego organizmu.

K. S. S. K. — to spółdzielnia o specjalnym typie. Struktura jej różni się od spółdzielni powszechnych. Jest eksterytorialna. Zasięgiem swym obejmuje nie jakieś jedno miasto, lecz różne punkty kraju. Aprowidując kolejarzy, którzy się zapisali na członków, posiada pewną liczbę obwodów, rozmieszczanych w punktach, gdzie są największe skupińska rodzin kolejarskich. Każdy obwód ma kilka lub kilkanaście sklepów. Przed wojną obwody były liczniejsze Niestety, działania i wyniki wojenne zrobiły w majątku spółdzielni duże szczerby: przepadły nie tylko gotówka, towary, urządzenia sklepowe, ale i sklepy, obwody i nieruchomości.

Jeszcze przed wojną i podczas okupacji K. S. S. K., pragnąc zabezpieczyć kapitał obrotowy spółdzielni i udziały członkowskie, starała się zdobyć dla niej majątek ruchomy, i nieruchomy: otwierano nowe sklepy, nabyto plac w Warszawie, willę w Otwocku na dom wypoczynkowy dla pracowników, dom w Skarżysku - Kamiennej, plac w Radomiu i inne. Posunięcia te okazały się b. szczęśliwe i wszystkie te nieruchomości ocalały. Stały się częściowym ekwiwalentem strat poniesionych.

Obecnie zasięg K. S. S. K. obejmuje 11 obwodów, mianowicie: obwód w Warszawie, Lublinie, Radomiu, Skarżysku, Kielcach, Chełmie, Siedlcach, Karsznicach, Gdyni, Zamościu i Łodzi, Po rozgrabieniu i zniszczeniu wojennym K. S. S. K. posiadała w okresie wyzwolenia Polski zaledwie 40 czynnych sklepów, w ostatnich dwóch latach Zarząd K. S. S. K. z dużym wysiłkiem energii rozbudowuje sieć sklepową, wzbogaca jej asortyment, zdobywa większą liczbę odbiorców. Obecnie spółdzielnia posiada 130 sklepów i aprowiduje w nich pokaźną liczbę 219.728 kolejarzy i ich rodziny.

Spółdzielnia rozwija własne zakłady wytwórcze, prowadzi 7 piekarni, 2 masarnie, 1 wytwórnię wód gazowych, 1 rozlewnię piwa, 1 ciastkarnię, 1 fabrykę sztucznego lodu.

K. S. S. K. jest członkiem Związku Gospodarczego „Społem" i przeważnie w oddziałach Związku zaopatruje się w towar. Niezależnie od bogatego asortymentu towarów „Społem:: K. S. S. K. otrzymuje towary z Ministerstwa Komunikacji, do jej 11 obwodów należy solidna dystrybucja tych towarów i podział towarów kontyngentowych między pracowników kolejowych.

Zwiększone obroty spółdzielni wyniosły w 1946 r. jeden miliard, sto milionów zł W br. już pierwsze półrocze wykaże powyżej wskazaną kwotę.

K.S.S.K. dąży konsekwentnie do podniesienia liczby członków. Gdy w początkach 1945 r. spółdzielnia liczyła 5 tysięcy członków, obecnie liczba ich wzrosła powyżej 16 tysięcy. Proporcjonalnie do rozwoju instytucji podniosła się liczba pracowników: obecnie wynosi ona 720. Ich sprężystość i oddanie, szczególnie gdy chodzi o dawnych pracowników i kierowników obwodów przyczyniły się wydatnie do rozwoju i pozyskania wielu dobrych punktów handlowych i przemysłowych.

Szeroko rozwinięty samorząd spółdzielczy jest również jedną z dodatnich stron K.S.S.K. Przy każdym obwodzie istnieją lokalne Rady Obwodowe, w składzie 6—12 osób, wybranych spośród członków spółdzielni. Wyłaniają one komisje: społeczno-wychowawczą, gospodarczą i rewizyjną. Rady — to organ kontrolujący i współpracujący. Są wyrazem woli członków, są łącznikiem między zarządem spółdzielni a członkami. W ramach akcji społeczno-wychowawczej K.S.S.K. zorganizowała kurs dla buchalterów, a obwody — kursy dla pracowników sklepowych. Mając na myśli zdrowie pracowników, urządzono dom wypoczynkowy w Otwocku i organizuje się na większą skalę dom wypoczynkowy w Śródborowie. Dojrzewa też akcja rozszerzenia swych wpływów na Ziemie Odzyskane. Tutaj K.S.S.K. liczy na pomoc zorganizowanej Głównej Rady Spółdzielni Komunikacji, której zadaniem jest opieka nad spółdzielniami kolejowymi jako instytucji planowania, patronującej i koordynującej.

Obecny naczelny dyrektor spółdzielni, ob. T. Czartoszewski, mówi, iż zamierzeń na przyszłość spółdzielnia ma wiele i wyraża przekonanie, że powrót Centrali K.S.S.K. do stolicy, gdzie zbiegają się różne zainteresowania, gdzie grupują się władze państwowe, ośrodki gospodarcze i centralne „Społem", a także ważniejsze bankowe i handlowe instytucje, odbije się dodatnio na rozwoju tej instytucji. Zarząd spółdzielni stanowią: T. Czartoszewski, Pędzik Al., Żurek Józef.

Powiatowa Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Brzezinach

Powiatowa Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Brzezinach Łódzkich, ul. Staszica 8, powstała w kwietniu 1945 roku. Spółdzielnia w chwili obecnej zrzesza 110 członków i zatrudnia 34 pracowników. Administruje pięcioma resztówkami (ośrodkami) rolnymi i prowadzi cegielnię o zdolności produkcyjnej ponad milion sztuk cegły na sezon. W dniu 1 lutego 1947 r. Spółdzielnia otworzyła swój sklep w Brzezinach z artykułami: żelaznymi i włókienniczymi. W najbliższym czasie zostanie otwarty drugi sklep Spółdzielni, w którym sprzedawane będą artykuły spożywczo-kolonialne, rolnicze, gospodarstwa wiejskiego i nawozy sztuczne.

Obroty Spółdzielni wynoszą miesięcznie przeciętnie ponad milion złotych. Pierwszy rok działalności Spółdzielni przyniósł nadwyżkę, o przeznaczeniu której zadecyduje najbliższe walne zgromadzenie.

W roku przyszłym Spółdzielnia zamierza wybudować nową cegielnię, całkowicie zmechanizowaną, w pobliżu miasta. Produkcja tej cegielni przeznaczona będzie wyłącznie na cele odbudowy m. Brzezin.

Zarząd Spółdzielni składa się z 5-ciu osób. W skład Prezydium Zarządu wchodzą ob. ob. Stanisław Krzemiński — prezes i kierownik, Feliks Maciejewski — skarbnik i Fijałkowski — sekretarz.

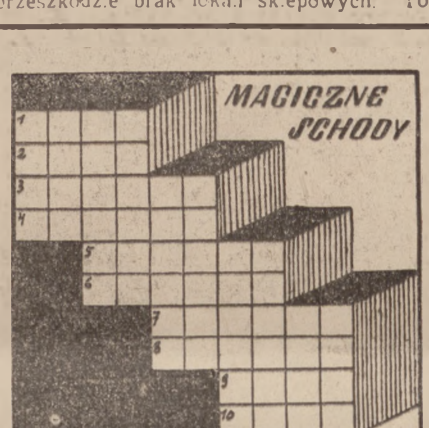
Spółdzielnia Spożywców „Tęcza" w Wieluniu

Spółdzielnia Spożywców „Tęcza" w Wieluniu, ul. Narutowicza 13, powstała w marcu 1945 r. Obecnie Spółdzielnia zrzesza 775 członków, zatrudnia 27 pracowników i prowadzi: skład opałowy i 6 sklepów, a w tym 4 kolonialno - spożywcze, 1 bławatny i 1 z wyrobami P.M.S.

Obroty Spółdzielni w 1946 r. dały 50.519.000 zł. Rozwój działalności Spółdzielni najlepiej charakteryzuje wzrost tych obrotów, które w styczniu 1946 r. wynosiły 700.000 zł., a w grudniu tegoż roku 9.000.000 zł. Na rok bieżący preliminowano obroty w kwocie 120.000.000 zł.

Dalszemu rozwojowi Spółdzielni stoi na przeszkodzie brak lokali sklepowych. To też Zarząd Spółdzielni zamierza jeszcze w bieżącym roku wybudować własną siedzibę, w której znajdą pomieszczenia: biura Zarządu, magazyny, wytwórnia wód gazowych, fabryka mydła, olejarnia i 2 dalsze sklepy. Ogólny koszt tej odbudowy, zniszczonego w czasie działań wojennych gmachu wyniesie 3.500.000 zł. Na pokrycie tej kwoty Zarząd Spółdzielni asygnuje z funduszów własnych 1.500.000 zł., a resztę zamierza pożyczyć.

Zarząd Spółdzielni składa się z 3-ch osób: ob. Edwarda Sobczaka — prezesa i kierownika, ob. Szczepana Jaworowskiego — inspektora szkolnego i p. Antoniego Kaśnickiego — kierownika szkoły. (a).



ZADANIE POZAKONKURSOWE

Za rozwiązanie redakcja przeznacza 3 nagrody książkowe. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 17 lipca 1947 r.

SCHODY MAGICZNE

Znaczenie wyrazów czytanych poziomo pionowo

1) Szkło powiększające, 2) Pasmo górskie w Rosji, 3) Narzędzie pracy artysty malarza, 4) dokument, 5) Imię żeńskie, 6) Przywódca kozacki, 7) Faraon, 8) Twórca scholastyki, 9) Wyspa na Morzu Śródziemnym, 10) Zmysł.

 uł. I. Krzeszawski



TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr 1-4766
Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
... 50% drożej
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka" Warszawa Smolna 12 B-32698

SKARBONA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymała redakcja „Dziennika Łódzkiego" (Łódź, ul. Piotrkowska 96) za umieszczenie w Nr 167/717 śliczne fotki z następującym podpisem:

Nie tylko nasza milicja jest uprzejma w stosunku do dzieci, ale i policja szwedzka. Oto dwóch rosłych policjantów szwedzkich w czasie defilady wojska podnosi dzieci, by mogły lepiej obserwować.

Mniejsza z tym, że fotka przedstawia nie policjantów szwedzkich, lecz typowych bobbys angielskich, których nawet ślepy pozna: dostarczona zapewne została redakcji w serwisie angielskiej Obsługi Informacyjnej, która urządziła właśnie w swym warszawskim lokalu przy ul. Marszałkowskiej wystawę fotograficzną policji angielskiej. „Dziennik Łódzki", przekonany o ignoracji swych czytelników, uznał pewnie, że należy Anglików przemianować na Szwedów, Ale mniejsza z tym wszystkim — powtarzamy. Prawdziwie propagandowym wyczynem byłoby, gdyby „Dziennik Łódzki" umieścił nieco inne zdjęcie z podpisem tej treści.

Nie tylko policja szwedzka jest uprzejma w stosunku do dzieci, ale i nasza milicja. Oto dwóch rosłych milicjantów polskich w czasie defilady wojska podnosi dzieci, by mogły lepiej obserwować.

ANI PARADOKS, ANI TAJEMNICA

Mormonowie uprawiają wielożeństwo. Brakuje tu kobiet. Paradoks i tajemnica Ameryki. Jest tam o trzy miliony kobiet za dużo i pastor Mormonów namawia młode dziewczęta, by wstępowały w szeregi sekty, gdyż to uchroni je przed staropanieństwem. Młode Amerykanki jednak czują niechęć do poligamii. („Kurier Codzienny" Nr 257).

I słusznie, ponieważ wielożeństwo śród Mormonów zniesione zostało akurat sześćdziesiąt lat temu w r. 1887 na skutek dekretu rządu USA.

ZGADNIJ, ZGADULA

W znanej miejscowości nadmorskiej, Brighton, odbył się koncert beethovenowski najlepszej angielskiej orkiestry symfonicznej pod batutą dyrygenta polskiego, Andrzeja Panufnika. Program zawierał... symfonię „Horoica"... („Głos Robotniczy" Nr 118).

Horoica, Horoica... Co to może być? Są słowa podobne: heroik, heroida, heroina, „Eroica"... którego z nich powinien był użyć „Głos Robotniczy"? Niech czytelnicy zgadną.

OBRÓT ZWIERZĘTAMI

Fachowców do zakupu bydła na kierownicze stanowiska poszukujemy. Wojewódzka Spółdzielnia Obrotu Zwierzętami. Szczecin, Mazurska 7. („Ilustrowany Kurier Polski" Nr 300).

Ogłoszenie jest dwuznaczne: nie wiadomo, czy bydło jest poszukiwane na kierownicze stanowiska, czy też fachowcy od jego zakupu mogą otrzymać kierownicze stanowiska. Jakkolwiekbądź jakiś „obrót zwierzętami" odbywa się niewątpliwie.

SZALEŃSTWO PRACY

Wczoraj w godzinach popołudniowych około 6 tysięcy kolejarzy, pracowników węzła wrocławskiego, robotników Państwowej Fabryk Wagonów Fabryki Superfosfatów, Zjednoczenia Przemysłu Konfekcyjnego i Urzędników Zarządu Stronnictwa Ludowego przystąpiło w różnych częściach miasta Wrocławia do uprzątania ulic z gruzów. Entuzjazm pracy jest szalony. Pracują wszyscy: personel biurowy, maszyniści, robotnicy. wszędzie panuje wesołość i nikt nie uchyla się od pracy („Trybuna Dolnośląska" Nr 189).

Pracując, wszyscy śpiewają chórem znany hymn do pracy z „Królewny Śnieżki: „Hej, ho-hej, ho! Do pracy by się szło! Hej, ho-hej-ho!" Ale, że — jak wiadomo — dwóch prac jednocześnie wykonywać nie można, nieczynny jest chwilowo węzeł wrocławski, fabryka wagonów, fabryka superfosfatów, przemysł konfekcyjny, tudzież biura stronnictwa.

Racjonalne obchodzenie się z mężem w czasie lata, drogie panie, stanowi osobny rozdział w naszym życiu mężatek, pełnym trudów i poświęceń. Dziś rozpatrzymy najczęściej praktykowany sposób spędzania lata, tj. wyjazd na letnisko podmiejskie z mężem na przychodnie, inaczej zwanym mężem dojeżdżającym.

Wynajęcie letniska możemy śmiało powierzyć mężowi. Będziemy miały duże pole do popisu przy oglądaniu wybranego przez męża obiektu. Ponieważ letniska bywają rozmaite, podaję wam, drogie panie, kilka zdań do wyboru. Mam nadzieję, że każda z moich miłych Czytelniczek znajdzie zdanie, odpowiednie do okoliczności.

Najpierw radzę wygłosić krótkie przemówienie na temat położenia letniska, wybranego przez naszego współmałżonka.

Mówimy więc:

a) Już nie miałeś gdzie wynająć, tylko nad rzeką. Dzieci mogą się potopić.

b) Też masz pomysły. Sosnowy las. Wiesz przecież, że jestem nerwowa i susza pogorszy mój stan.

c) Chyba nie pomyślałeś, co robisz. Liściasty las! Wiesz przecież, że mam artretyzm i taka wilgoć pogorszy mój stan.

d) Czy rzeczywiście musiałeś wynająć w takiej pagórkowatej okolicy? Przecież ja się tu zamęczę.

e) Co ci strzeliło do głowy, żeby wynająć na takiej równinie? Melancholii można dostać.

f) Zlituj się, gdzieś ty wynajął? Ani rzeki, ani lasu, ani nawet pagórka. I ja mam tu mieszkać?

We wszystkich tych wypadkach dobrze jest nazwać wynajęte letnisko śmietnikiem. To pasuje do wszystkich wyżej wymienionych okoliczności.

Stefania Grodzieńska

ODCZYTY W ZWIĄZKU STANOWCZYCH MĘŻATEK

MĄŻ, A LETNISKO

Po wyrażeniu zdania na temat okolicy, przechodzimy do towarzystwa które tu zastajemy.

Mówimy:

a) Sami znajomi. Czy po to uciekłam z Warszawy, żeby tu oglądać te same twarze?

b) Ani jednej znajomej twarzy! Co ja tu będę robiła? Nie mam do kogo się odezwać.

c) Jakaś arystokratyczna miejscowość. Same zadarte nosy. Pewnie im moje towarzystwo nie będzie odpowiadało.

d) Sama hołota. I to ma być dla mnie towarzystwo? i

Z kolei zajmujemy się sprawą dojazdu na letnisko. Tu przewiduję tylko dwie możliwości, a mianowicie:

a) Jeśli dojazd jest dorby: „Całą Warszawę będziemy mieli u siebie co niedziela".

b) Jeśli dojazd jest marny: „Pies z kulawą nogą do nas tu nie zajrzy".

Jeśli miejscowość jest ożywiona, mówimy: Żaden odpoczynek! Przecież to miasto!"

Jeśli miejscowość jest odludna: Gdzieś ty wynalazł taka dziurę?

Jeśli jest dużo dzieci: „Pięknie wybrałeś. Trzeba będzie nasze dzieci trzymać w domu, bo napewno będzie epidemia szkarlatyny".

Jeśli jest mało dzieci: „Cóż te biedne dzieciaki tu będą robić? Nawet nie będą miały z kim się pobawić".

Wydaje mi się, że wyczerpałam tu wszystkie najważniejsze problemy letniskowe. Jeśli by która z pań znalazła się w sytuacji, do której nie pasuje żadna z wyżej wymienionych rad, uprzejmie proszę o zwracanie się do mnie z zapytania a chętnie doradzę.

Jeśli idzie o dalszy pobyt na letnisku, to należy pamiętać o tym drogie panie, że mąż dojeżdżający służy do przewożenia produktów w jedną stronę, a brudnej bielizny w drugą. Obydwie funkcje wymagają jedynie ślepego posłuszeństwa ze strony męża, więc mam nadzieję, że żadnych przykrych niespodzianek w tym względzie nie doznamy.



Mąż dojeżdżający służy do przewożenia produktów...



Fot. Film Polski

Indiański wigwam z wystawy prac uczniów szkół powszechnych na Pradze.



Fot. Film Polski

Przedłużamy Marszałkowską. Członkowie Brygady Pracy usuwają gruzy na całej trasie, idącej przez ruiny getta.



Rys. Jan Lenica

— Co pan tu robi, panie Kociołek?
— Sssst! Dzisiaj jest odsłonięcie tego pomnika, a figura jeszcze nie została wykończona.



Rys. J. Zaruba

Z powodu upałów Imć Pan Zagłoba nie opuszcza mieszkania. Dziś więc jego przygód nie będzie. Szukajcie Zagłoby w numerze następnym.

TYDZIEŃ

NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ZAŁOŻENIA NASZEGO PISMA